815

II 1.519.558

aut. Antoni Stefański?

1

10
CIEKAWYCH OPOWIADAŃ
i HISTORYI

Z OBRAZKAMI

DLA MŁODYCH I STARYCH

opowiedział Stary Maciej.

1. Jak się pijanica Bartek za życia dostał do sieni piekielnej.
2. Spalona karczma.
3. Najdroższe skarby.
4. Ostatnie jajko.
5. Wypędzone nieszczęście.
6. Jak Maciej Palas wyszedł na puszczaniu krwi.
7. Historja o Katarzynie. (Złej słudze).
8. Źli sąsiedzi.
9. Sposób na biedę.
10. Historja o Kaśce i o leniwej torbie.

WARSZAWA.

Nakładem księgarni Ch. I. Rosenweina, Marszałkowska 114.

1913.

aut. A

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001017860923

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

II 1.519.558

Druk A. Thiella, Warszawa, Grzybowska 43.

1999 k 149/97

Jak się pijanica Bartek za życia dostał do sieni piekielnej.

Szeroko i daleko było szukać takiego pijaka, jakim był Bartek Rzemień z Przedborowa. Bez wódki zdało się że ten człowiek żyć nie mógł, to też dzień i noc przesiedział w karczmie, a nie było w okolicy targu ani jarmarku, na którymby się Bartek nie upił jak cztery dziewki.

To też kara Boża tego pijaka ścigała. Dawniej miał się Bartek nieźle bo i niezły kawał gruntu po ojcu odziedziczył, a prócz tego w stajniach i chlewach pełno było dobytku: woły, pszczoły, a w półskrzynku to się i trzos pieniędzy znalazł. Bartek był jedynakiem, ożenił się bogato, więc o biedzie ani słuchać u niego.

Ale cóż, jak powiadają, więcej ludzi utonęło w kieliszku, aniżeli w morzu, tak też i Bartek niedługo wszystko przez gardło przepuścił. Zmarniał dobytek, ziemia przestała rodzić, bo nie miał kto jej dojrzeć, gdy Bartek wciąż jeno po karczmach, targach i jarmarkach się włóczył. To też setna bieda w jego chałupie zagościła. Dzieciska głodne, obdarte aż strach, bo nie było za co kupić przyodziewku i nie było co w garnek włożyć. A długów po karczmach jak włosów na głowie, tak, że już i gospodarstwo niedługo sprzedać mieli.

Ale czy myślicie, że to Bartka wstrzymało od picia? gdzie tam; pił przeklęte wódczysko niby koń wodę. Darmo prosiła go żona ze łzami w oczach, aby porzucił to nieszczęśliwe pijaństwo, jeśli ma litość nad swoją grzeszną duszą i nad swojemi dziećmi; darmo dziedzic i ksiądz

proboszcz upominali Bartka, wszystko to było napróżno tak samo, jakbyś groch o ścianę rzucał. Bartek sobie i popłakał czasem po trzeźwemu, a potem jak zaszedł do karczmy to pił po dawnemu, a jak przyszedł do domu to wyrabiał takie brewerje, że nieraz żona i dzieci z chałupy uciekać musiały. A co ztąd było obrazy Bożej, zgorszenia! O wódko! wódko! ileś ty biedy wyrządziła, iluż to ludziom zgotowałaś wieczne potępienie.

I byłby Bartek nigdy się nie odzwyczaił od tej przeklętej gorzały, a może byłby zmarniał gdzie pod płotem, albo w karczmie za piecem, bez spowiedzi, bez Sakramentów Świętych, gdyby nie jedno zdarzenie, które Bartka naprawiło. A było tak:

Spił się raz Bartek porządnie w mieście na targu, więc już nie doszedł do swojej chałupy, jeno jak długi rozciągnął się przy drodze i zaczął chrapać należycie. Aż tu jedzie drogą pewien bardzo dobry pan, który też czasem lubił pożartować, a niecierpiał nadewszystko pijaństwa. Znał on dobrze Bartka i wiedział o jego nieszczęsnym nałogu, więc skoro go ujrzał przy drodze, kazał stanąć. Myśli sobie ów pan, jakby tego Bartka od pijaństwa odzwyczaić. Nakoniec widać było, że wpadł na jakąś myśl dobrą, bo kazał wziąć Bartka na drugi wóz i zawieźć do swego dworu. Tam złożono tego opilcę w piwnicy, którą prędko na piekło zamieniono. Słudzy poprzebierali się za djabłów, zapalili kocioł spirytusu, a potem zaczęli robić chałas, wyć, krzyczeć, sykać, aż się i Bartek obudził. Zaraz przystąpili doń ci udani djabli, nuż go ciągnąć do tego kotła, poszturgiwać, a wreszcie istne piekło się zrobiło. Krzyknął jeden z tych czarnych przeraźliwym głosem: „Nie mogłeś się nasycić wudczyskiem za życia, to teraz po uszy będziesz się kąpał w czystym spirytusie, a więc marsz do kotła!

Na to jeden z czartów jak nie zamiesza warząchwią w kotle, a tu jak nie pryśnie ogień na wszystkie strony, że aż Bartkowi włosy na głowie dębem stanęły.

— Ach panowie djabli, — zawołał rozpaczliwym głosem — powiedzcie mi, jakem się tu dostał, czy umarłem, czy co?

Na to odpowie jeden z szatanów.

— A nie pamiętasz to Bartku jakeś umarł wczoraj tam za miastem na górze z pijaństwa, bo wódka się w tobie zapaliła, więc dostałeś się do piekła, ale to dopiero sień piekielna, a piekło same, bratku, to zobaczysz.

Nuże potem djabli skakać koło niego, ciągnąć go

Wszystkiemu temu przypatrywał się ów pan z ukrycia...

do kotła, wrzeszczeć, chichotać, tak, że Bartek ledwie naprawdę nie umarł.

Jak to mówią: „Kiedy trwoga, to do Boga“, tak i nasz Bartek padł na kolana, zaczął się modlić i wyrzekać: „O przeklęta wódko! cóżeś ty mi najgorszego zrobiła, a bodajżem cię nigdy nie znał na świecie. O Boże Wszechmogący! zlituj się nademną grzesznikiem.“

Zaczął potem mówić Bartek pacierze, litanje, a nigdy się tak nie modlił jak wtenczas. Djabli niby się przelękli, więc wrzeszczą, że duszę stracą, a krzyczą na Bartka aby przestał się modlić, bo dopóki się modli to go nie mogą do kotła wrzucić.

Myśli sobie Bartek, tego mi też trzeba tylko. Więc im bardziej djabli ryczą, tem serdeczniej Bartek się modli, a prosi Boga, aby go z tej sieni piekielnej wybawił, a już więcej pić nie będzie.

Wszystkiemu temu przypatrywał się ów pan z ukrycia, a cieszył się, że Bartek może porzuci pijaństwo. Kazał potem zakadzić takim proszkiem na sen, że Bartek usnął niedługo. Wtedy kazał go pan ubrać w piękne szaty, włosy mu spuścić, ogolić i zawieźć do swego najpiękniejszego pokoju. Zastawiono stół najlepszemi potrawami, a potem obudzono Bartka. Ten przeląkł się z początku, bo myślał że jest w piekle, ale jak się zadziwił, gdy ujrzał pięknie malowany pokój, a w nim pełno kwiatów, złota i srebra. A w drugim pokoju zabrzmiała cudowna muzyka, że aż Bartkowi lekko i wdzięcznie na sercu się zrobiło. Słucha Bartek muzyki, aż tu widzi aniołów (były to poprzebierane panny), którzy go zapraszają do jedzenia. Bartek zaczyna do nich mówić, ale ci się tylko ukłonili i dali mu znak, żeby nic nie mówił.

Mówi Bartek do siebie: „Pewnie jestem w niebie“. Ukląkł więc i najprzód podziękował Bogu za wyrwanie z piekła i za to, że się dostał do nieba. Jadł potem i pił, a muzyka wciąż prześlicznie gra, że ledwie Bartkowi serce z piersi nie wyskoczyło.

Wtem ucichła muzyka, a następujący głos dał się słyszeć: „Bartłomieju! za twoje pijaństwo dostałeś się wczoraj do sieni piekielnej, ale szczera twoja modlitwa została wysłuchana, więc jeśli się chcesz poprawić, to wrócisz na ziemię. Ale wprzód, na pewien czas dostałeś się do sieni niebieskiej, abyś poznał, jaka cię nagroda będzie czekać za dobre życie, a jaka kara za złe życie. A teraz powiedz, czy przyrzekasz poprawę?“

Bartek ukląkł i zawołał: „Przyrzekam!“

„Pamiętaj więc—rzecze głos znowu—abyś się nie

dostał do samego piekła, które tysiąc razy jest okropniejsze, niż owa sień (myśli sobie Bartek, nie wiem jak może być co gorszego). A więc popraw się Bartłomieju, a napominaj też i innych, aby przestali pić wódkę".

Wtem znowu odezwała się prześliczna muzyka. Bartek był cały wzruszony. Ponieważ mu znowu w jednej potrawie dano proszku na spanie, więc też usnął wkrótce. Ubrano go potem w jego ubiór i wywieziono na to samo miejsce, gdzie go ten pan znalazł. Na pamiątkę włożono mu w kieszeń srebrny kielich z tej uczty niebieskiej.

Kiedy się bartek obudził, tad zaczął naokoło o sie bie spoglądać, a że księżyc przyświecał, więc poznał niedługo znajomą okolicę. Przypomina mu się sień niebieska i piekielna, ale on myślał, że to mu się tylko śniło. Wtem czuje, że mu coś cięży w kieszeni. Sięga ręką i wyjmuje piękny srebrny kielich. Wtedy Bartek struchlał, bo wiedział, że naprawdę był w sieni piekielnej, ale pocieszył się, jak sobie przypomniał, że był też i w sieni niebieskiej. Rzucił się Bartek na kolana i jeszcze raz przyrzekł uroczyście Bogu, że już się poprawi i wódki do ust nie weźmie.

A księżyc aż milej zdawało się przyświecał, gwiazdki się uśmiechały, a tam w niebie anieli cieszyli się bardziej nad tym nawróconym grzesznikiem, niż nad dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwymi.

Gdy spojrzał Bartek na niebiosa, i wspomniał na Boga, wtedy zaczął płakać jak dziecko, z żalu, że tak ciężko Pana Boga obrażał, a ludziom dawał zgorszenie. Wspomniał na żonę i dzieci, i co rychlej pośpieszył do zagrody.

Już świtać zaczęło, kiedy przyszedł do domu. Wchodzi do domu, a tu dzieci wyrzekają, biedna zaś żona siedzi i pracuje. Nic nie mówiła do Bartka, tylko nań żałośnie spojrzała, zrobiło się tak Bartkowi, jakby mu kto nożem serce krajał. Przystąpił do żony, wziął ją za rękę i opowiedział rzetelnie, wszystko co mu się przytrafiło od początku do końca, a potem pokazał jej sre-

brny kielich. Oj, ucieszyła się biedna kobiecina, widząc, że Pan Bóg jej modlitwy wysłuchał.

Bartek nazajutrz poszedł do spowiedzi, a od tego czasu zaczął inne prowadzić życie. W karczmie nie postała jego noga, wódki chronił się jak morowego powietrza. To też niedługo powrócił dostatek i szczęście do Bartłomiejowej chaty, a zagroda aż się zdaleka uśmiechała do każdego.

Jakoś w rok potem przyjechał jakiś pan do Bartka. Był to ten sam, co go znalazł na drodze, a potem tak oduczył się pijaństwa. Oj, byłoż tam śmiechu i płaczu, jak ten Pan Bartłomiejom całe zdarzenie opowiedział.

Bartek kręcił głową i nie bardzo chciał temu wierzyć, on by przysiągł, że to była rzeczywiście sień piekielna i niebieska. Ów pan zaś przywiózł rożne podarunki dla Bartłomieja, żony i dzieci, a jednego chłopca dał uczyć na księdza.

Spalona karczma.

(Podanie).

Nie za górami, nie za lasami, ale w obwodzie sandeckim leży wieś Kraścienko.

Ot, jak na górskie sioło, wygląda ono wcale pięknie i wesoło, a choć tam wiatry silniejsze, i śniegi gęściejsze, i drogi skaliste, i pola kamieniste i łąki paszniste, to za to są góry wysokie, aż pod obłoki i lasy niezmierzone, zwierzem napełnione, i krynice gdyby łza czyste, a lud tęgi i rosły, gdyby jodły wieczyste, a radniejszy niż w okolicach równistych, ot zwyczajnie, jak we wszystkich stronach górzystych. Idąc do tej wsi, bardzo cię zadziwi, że tuż, wedle drogi, leży sadzawka mętna, niby bagno jakie, a nad jej brzegiem leży kupa kamieni, snadź dawno, bo zielskiem i chwastem obrosła.

I staniesz nad tą sadzawką, i zaczniesz dumać, a z wody będą się odzywać żaby przeraźliwym głosem, i jakoś niechcący lęk cię ogarnie, i zapytasz się jakiego gazdy, co też tu stało na tem miejscu, gdzie teraz ta kupa kamieni leży, a on ci w krótkiej rozmowie następującą gadkę powie:

Dawno już temu, bo nikt we wsi tego nie pamięta, stała na tem miejscu karczma murowana, nito dwór jaki. I siedział w niej jakiś arendarz i na pięć mil na około nie było takiego dobrego napitku, jak u niego, i nigdzie lepszej wiary i większej miary, jak u niego, i nikt prędzej na lichwę nie pożyczył, jak arendarz, i nigdzie, jak to się różnie przydarza, nie było w żałości lepszej porady, a w radości lepszej zachowy, jak w karczmie u arendarza. Więc też nigdy, przenigdy karczma nie była pusta, bo każdy miał tam jakiś interes, a arendarz z jednym coś rozmawiał, drugiemu coś dawał, i kredą podwójne znaki na tabliczce zapisywał i zapisywał, a za każdą razą do wódki wody dolewał i dolewał. I bywało, że nie jednemu czasu niestało doglądać gospodarstwa, albo pójść na zarobek, bo musiał pójść do karczmy na odrobek; drugiemu brakło często gęsto chleba dla dzieci, ale, gdy potrzeba było zanieść coś do karczmy, to się znalazła kwarta jakiego ziarna, lub jaka chusta, chociażby potem przyszło gołemi świecić plecami, nie mając czem z żoną i dziećmi grzesznego ciała przyodziać.

I tak powoli gospodarstwo, dobytek i mienie przez własne gardło do arendarskiej przechodziło kieszeni.

Ot, była to właśnie niedziela, słonko pięknie świeciło, w kościele odprawiało się nabożeństwo i dobrodziej mówił piękne kazanie, ale w kościele jakoś ludzi nie wiele. Tylko na przedzie widać kilkoro dzieci i po prawej stronie trochę kobiet, ale za to na lewej klęczy tylko kilku najstarszych gospodarzy, a żałość ich widać na twarzy.

— I gdzież to jest reszta krościennickich gospodarzy? Czy może ćma złośliwego nieprzyjaciela w te okolice się zwaliła? Czy może, broń Boże, zaraza ich podusiła? Oj, nikt ci temu nie winien, moi kochani lu-

dzie, tylko ona, szkodliwa pokusa kieliszkowa, co i teraz jeszcze nie jednego człeka do złego uwiedzie.

Tymczasem w kościele skończyło się nabożeństwo, lud się porozchodził do domów, a ksiądz wziął jeszcze puszkę z Przenajświętszym Ciałem Jezusa Chrystusa, i szedł do chorego, aby go posilić na drogę życia wiecznego, a sługa kościelny, Sobek kulawy, postępował naprzód i dzwonił, a ludzie klękali po drodze i głowy schylali.

Droga szła wedle karczmy, od której już zdaleka zachodziły jakieś krzyki i śpiewy, poczciwe uszy rażące. I nie dziwno, bo to dzisiaj od samego ranka w karczmie hulanka, że aż ha? Jeden z gospodarzy wyprawia dziś chrzciny, i z tej przyczyny pospraszał znajomych i krewnych na trunek i poczestunek, a kogo nie zaproszono, ten szedł przynajmniej posłuchać muzyki, i wszystkiemu temu się przypatrzyć.

Otóż dwóch skrzypicieli siedzi w oknie i rzępoli tak skocznie od ucha, że aż nogi same podskakują, a młodzi tak siarczyście tańcują, aż czapki i kapelusze się trzęsą i z głowy spadają, a karczma cała zdaje się obracać. Zaś co starsi pozasiadali za stołami przy pełnych kuflach wódki i piwa, i rozmawiali to o tem, to o owem, czego wszystkiego uczciwsze uszy, nawet powtórzyć się nie godzi. I między młodymi, gdy wódka i taniec rozpaliły im głowy, zaczęły się najprzód hultajskie rozmowy, a potem żarty nieprzystojne, i między niektórymi od żartów przychodziło do kłótni, a krzyki wzmagały się i wzmagały, a w kościele odprawiało się nabożeństwo, a tu rosła coraz bardziej niesłychana obraza Boga, która prędzej czy później ukarana zostanie.

Tymczasem jeden z trzeźwiejszych usłyszał bliskie dzwonienie, a rzuciwszy przez okno spojrzenie, obaczył jak ksiądz z Panem Bogiem idzie do chorego. I powiedział o tem wszystkim zgromadzonym, a sam wyszedł na dwór, ukląkł i pokłonił się nisko przed Najświętszem Ciałem Jezusa Chrystusa. Ale nikt więcej nawet i kapelusza nie zdjął i żadna nie ukorzyła się dusza, ale jeszcze co najwięksi zuchy zaczęli bluźnić i na

księdza wygadywać i z onego się naśmiewać, co z karczmy wyszedł.

To już była za wielka obraza dla sprawiedliwego Boga i dla tego też nastąpiła kara Jego.

Nie zmówiłbyś i trzech pacierzy jak się należy, aliści duchem zasępiło się na dworze, niebo okryło się straszliwemi chmurami, setnemi zahuczało grzmotami i piorun uderzył w tę karczmę, a nie upłynęło i pół godziny, a jużci dla ciężkiej przewiny została się z karczmy tylko kupa rumowiska i wszyscy pozabijani w niej ludziska, oprócz tego jednego, który pochwalił Jezusa Chrystusa w Sakramencie utajonego.

I z tych pobitych ciał wedle podań rozmaitych miały powstać żaby i jaszczurki, które powskakiwały do sadzawki, a woda przedtem czysta i jako łza przejrzysta, stała się naraz brudna i mętna. A ksiądz, gdy powracał od chorego, aż zapłakał z żalu wielkiego na tem miejscu, a pomodliwszy się w szczerości Bogu za tych nieszczęśliwych, powrócił do domu w żałości.

I wielki powstał zamęt, płacz i lament w całej wsi, bo mało co nie każda chałupa kogoś utraciła i każda prawie rodzina na głos zawodziła. Powoli jednakże żałość minęła i ludzie poumierali, co to oglądali, ale do tego czasu jeszcze niby na wieczną pamięć i świadectwo o cudzie, leży kupa kamieni z onej karczminy, a w tej mętnej sadzawce, jak bają ludziska, są jeszcze owe żaby i jaszczurki, niby pokutujące ciała pobitych grzeszników. Może się ta pokuta już skończy i może one dusze wnet ze swoich grzechów zostaną obmyte i oczyszczone, bo miłosierdzie Boże jest nieograniczone. Ale dziś jeszcze boją się ludzie tej zaklętej sadzawki i onej kupy kamieni, a co największy zuch, toby o zmroku nie postąpił tam ani kroku bez lęku. Ano i jako przykład żywy widzicie, bracia moi, jakie to pokaranie Boże pijatyka i hulatyka na ludzi sprowadzić może.

Najdroższe skarby.

— Matko gdzie Bartoś? — zapytał pewnego dnia Jakób Szeliga włościanin z Leśniowoli, wpadając z szybkością do chaty żony swojej Jadwigi, co z największem zajęciem wybierała grzyby z koszałki. — Alboż ja wiem? — odrzekła z największą obojętnością, nie ruszając się z miejsca. — A któż ma o tem wiedzieć kobieto?—krzyknął zniecierpliwiony wieśniak; — ruszajże czemprędzej poszukać dzieci na wieś, bo właśnie mówił mi gajowy, że pies dworski dostał wścieklizny, biegł teraz pono gdzieś koło naszej chałupy, może które skaleczyć, najbardziej też boję się o Bartosia, bo to małe i głupie, ani wie, kiedy może popaść w nieszczęście. Na te słowa zerwała się kobieta, wybiegła z chałupy, ale już koło sadu spotkała wylęknioną Marynę, starszą córkę, która prawie bez tchu zdążała do domu, z maleńkiem dzieckiem na ręku, wlokąc za sobą płaczącego Bartosia; cała ta trójka wraz z matką wpadła do izby, a wkrótce potem wystrzał z fuzyi przekonał wszystkich, że szkodliwe zwierzę na zawsze uprzątniętem zostało. Ten wypadek, jakkolwiek nie pociągnął za sobą na teraz żadnych bolesnych skutków, powinien był jednak przekonać nierozważną Jadwigę, na jakie niebezpieczeństwo wystawia własne dziatki, nie zwracając uwagi na czynność ich; inaczej się jednak stało, gdyż zaledwie miesiąc minął, gdy stara Skołubowa przechodząc przez wieś, spotkała ją dążącą spiesznie ku dworowi z oczyma zapuchniętemi od płaczu.

— Cóż to wam kumosiu? — zapytała z współczuciem zatrzymując biegnącą.

— A cóż ma być? — odrzekła Jadwiga — człowiek zawsze nieszczęśliwy, ot, wszystko troje dzieciaków, jakby ich kto z nóg pościnał leżą chore w chałupie.

— Czy tylko nie objadły się czego szkodliwego?

— E, gdzie tam moja kumo, — odparła Jadwiga, — wczoraj wieczór były rzeźwe gdyby ptaki, podjadły

ziemniaków z mlekiem jak zwykle, aż tu wstaje mój w nocy i patrzy, a Bartoś rozpalony jak głownia przewraca się po słomie i jęczy, aż się serce kraje; wołam na Marynę, żeby mu choć wody podała, aż tu i ona ruszyć się nie może, tak ją coś boli i niby nożami rżnie wewnątrz; mój, jak go znacie, nagły, począł mnie okrutnie wyzywać, że to zapewne przez mój niedozór dzieciska w biedę popadły, a kiedy jeszcze i moja Małgosia, co jej drugi rok dopiero, zaczęła jęczyć i wrzeszczeć bez pamięci, straciłam całkiem głowę i tylko prosiłam Boga, żeby mi dozwolił jako do rana doczekać, cobym mogła pobiedz do dworu po jakie leki.

— Żebyście mnie byli poprosili gospodyni, — odezwał się w tej chwili pastuch dworski, który w przechodzie był usłyszał skargi Jadwigi,—byłoby się bez wszystkich leków obyło.

— A cóżbyście wy na to poradzili Wawrzku? — zawołała Jakóbowa.

— Poradziłbym wam miła gospodyni, żebyście waszym dzieciom nie pozwolili zakradać się do młynarskiego sadu, żeby się nie objadały niedojrzałych gruszek, a oprócz tego wiecie, że tam są bardzo złe psiska, może to wam powiedzieć najlepiej wasza Marysia, bo wczoraj aż dziecko upuściła na ziemię ze strachu.

— Nie wielebyście mi tam nowego powiedzieli, człowieku, — odrzekła urażona wieśniaczka, — dziecko zwyczajnie jak dziecko, wszędzie wlezie, a mnieby i nóg nie stało, żebym miała wszędzie łazić za niemi.

— Prawda, ale moglibyście im przykazać, żeby się nie ważyły robić komu szkody, a i sobie też największej, jak to sami dziś widzicie.

Jadwiga już nic na to nie odpowiedziała, tylko pożegnawszy kumę pobiegła ku dworowi, ale w tydzień potem, chowano na wiejskim cmentarzu małą Małgosię, córkę Szeligów, która nie mogąc przetrzymać ciężkiej choroby, poszła do grobu, przez niedbalstwo rodzonej matki. Płakała i zawodziła nad mogiłą dzieweczki Jakóbowa, przyrzekając głośno przed Bogiem i ludźmi, że odtąd pilniej już będzie strzegła pozostałych dzieci, któ-

BIBLIOTEKA NARODOWA

re też cudem prawie zostały przy życiu. Rzeczywiście, jakiś czas potem nikt nie widział Jakóbowych dzieci wałęsających się zdala od chałupy, ale cała wieś wydziwić się nie mogła postępowaniu Jadwigi, która dobrem okiem patrzała na próżnowanie trzynastoletniej Marysi i na niegodziwe psoty Bartosia, przed którym żadne zwierzę ani robak nie miały spokoju; radzili więc znowu poczciwi ludzie, łajał i bił nawet sam Szeliga, ale co tam poradzi bodaj i najlepszy ojciec, kiedy matka niema Boga w sercu i nie strzeże od złego swoich dzieci.

Pewnej niedzieli, a było to już w marcu, lody na rzece puszczać zaczęły miejscami, jednak dość jeszcze mocno trzymały; stara Skołubowa szła ze swoją rodziną z nieszporów, właśnie przechodzili koło młyna, kiedy wtem Jagula najmłodsza z jej dziatek krzyknęła niespokojnie: — spojrzyjcie no matko, co to tam czarnego pływa po wodzie. — Na ten krzyk obejrzeli się wszyscy. Ale poczekajcie no trochę — przerwał Sobek, dziewiętnastoletni brat Jaguli, — toć to widzę nic innego, jak tylko kapelusz; zkądże on się mógł tu znaleźć w tem miejscu?—Ale w tej właśnie chwili ujrzeli wszyscy bladego jak śmierć Szeligę, w towarzystwie kilku ludzi, nadchodzącego z drugiej strony; ów bowiem kapelusz był własnością Bartosia, który w czasie nieobecności rodziców, wymknąwszy się na ślizgawkę, załamał się na lodzie i gwałtownym pędem wody został uniesiony pod koło młyńskie. Zbiegli się ludzie z całej wsi na odgłos nieszczęścia, szukano wszędzie, ale napróżno, i dopiero po kilku dniach znalazł nieszczęśliwy ojciec pogruchotane członki Bartosia. Był to cios zbyt okropny dla naszego Jakóba, przejęty rozpaczą utracił chęć do pracy, znienawidził własną żonę, i coraz częściej zaczął szukać pociechy w gorzałce, która go też w parę lat wpędziła do grobu.

Po śmierci męża Jadwiga jeszcze więcej poczęła stroić i pieścić dorosłą już córkę, która bez karności i pracy doszedłszy młodocianego wieku, gorzko poczęła wywdzięczać się matce za swoje niedbałe wychowanie i wkrótce stała się zgorszeniem i hańbą rodzinnej wioski.

Gryzła się i płakała po niewczasie nieszczęśliwa matka i wkrótce gnębiona boleścią ciężko zapadła na zdrowiu; tu dopiero zaczęła zbierać owoce swojego postępowania: w długich dniach choroby, opuszczona od płochej córki, musiała poprzestać na miłosiernej opiece dobrych sąsiadek, które nieraz jeszcze zatruwały jej życie wspomnieniami ubiegłych zdarzeń; cierpiała zatem niewypowiedzianie, aż nareszcie pewnego dnia, czując

Był to cios zbyt okropny dla naszego Jakóba...

zbliżający się kres istnienia, uprosiła starej Skołubowej, co właśnie przyszła ją odwiedzić, ażeby wezwała księdza, coby jej duszę grzechami i boleścią znękaną umocnił do tej ostatniej wieczystej podróży, przed którą i sprawiedliwy nieraz zajrzeć musi.

Pobiegła stara i w parę godzin potem, Jakóbowa pojednana z Bogiem doznała niejakiej ulgi, pragnęła ona

pobłogosławić Marcynę, ale napróżno szukano jej we wsi, bo właśnie był jarmark w poblizkiem miasteczku i niegodziwa dziewczyna, bez względu na chorobę matki, pobiegła tam w nadziei wesołej hulanki.

Ciężki był zgon nieszczęśliwej Jadwigi, zalewała się gorzkiemi łzami, a gdy poczciwa Skołubowa cieszyła ją jak mogła miłosierdziem Bożem, odpowiadała jej drżącym głosem:

— Nie dla mnie już ta pociecha, moja kumo, bom zmarnowała najdroższe skarby, które mi Bóg powierzył, bo na mojem sumieniu cięży odpowiedzialność za śmierć Małgosi i Bartosia, bo odemnie dopomni się niebo duszy mojej Marcynki, co kiedyś za grobem przeklinać będzie własną matkę. — Takie były ostatnie słowa Jadwigi, które dotąd niejedna matka powtarza w Leśniówce, a pomnąc, że w każdym stanie dusze dziatek są najdroższymi skarbami, za które przed Bogien i ludźmi odpowiedzialność nas czeka, strzeże ich jak źrenicy swojego oka.

Ostatnie jajko.

Skromny Bliziński kościołek rozlegał się radosnem pieśniem Alleluja! setnemi nuconemi głosy; wielki ołtarz jaśniał rzęsistem światłem, a wśród kwiatów, na śnieżnej białości obrusie, jakim go na ten dzień najuroczystszy dla całego chrześcijaństwa przyozdobiono, prześlicznie odbijała mała figura Zbawcy świata, z pięciu ranami na ciele, a z chorągiewką tryumfu, bo nad śmiercią, piekłem i grzechem. Całe wnętrze świątyni zapełniał strojnie przybrany ludek boży, na którego twarzach najwyraźniej malowała się niezmącona radość z doczekania świąt Wielkiejnocy, a wesele ich w tak jasnych odbijało się barwach, że i niejedno zasmucone serce mogło się niem pocieszyć. Pod chórem, niedaleko drzwi kościelnych, klęczał jakiś człowiek już nie pierwszej

młodości i modlił się gorąco, bo aż łzy kropliste płynęły mu po twarzy i częste westchnienia z szerokich dobywały się piersi; był on widocznie obcym w tych stronach, bo oczy wszystkich wchodzących ciekawie zwracały się na niego, a przy wyjściu, gdy cała gromadka poważna i milcząca przed chwilą, z wesołym gwarem, niby rój pszczół, wysypała się na cmentarz, a brat z bratem, kum z kumem, sąsiad z sąsiadem, serdecznie zamieniali powitania, on tylko jeden, niby sierota, z trudnością wydostawszy się z kościoła, samotnie postąpił kilka kroków i podając parę groszy sędziwemu Łukaszowi Kulawce, co już od lat kilkunastu żyjąc z miłosiernych datków tamtejszych włościan, był niby żywą księgą Blizina i jego okolic; przemówił nieśmiało:

— Powiedzcie mi mój ojcze, czy żyje tu jeszcze w tej wsi Marek Kostrzewa?

— Hej! hej człowieku, a gdzieżeście to bywali tak daleko, że nie wiecie, że ot prawie przed samemi godami skończyło się dwa lata, jakeśmy go złożyli w świętej ziemi,—odrzekł dziad, ciekawemi oczyma mierząc przechodnia.

— A jego żona?—zapytał znowu nieznajomy drżącym głosem.

— O! i ona nieboga już nie żyje, — odparł stary, kiwnąwszy ręką.

Ciężkie westchnienie wydobyło się z piersi wieśniaka, po chwili jednak odezwał się znowu:

— A to już chyba nikogo z nich niema teraz w Blizinach?

— A któż wam o tem powiada,—krzyknął Kulawka, — ot Jasiek Kostrzewa gospodarzy teraz w ojcowskiej chałupie; Walek ożenił się z córką leśnego z Bukowej i wyniósł się do drugiej wsi za żoną; a oto w tej chałupie, za kuźnią, siedzi komorą Katarzyna Woźniakowa, córka nieboszczki Markowej po pierwszym mężu; ale dla czego tak mnie wypytujecie gospodarzu,—rzekł dziad, bystro spojrzawszy w twarz nieznajomego.—A, bo znałem kiedyś starą Markową,—odpowiedział, spuszczając oczy ku ziemi.

— A może i jej syna Szymka, co to go Kostrzewa wygryzł z ojcowskiego mienia i z kijem wyprawił między ludzi ze dwanaście lat temu; zaśmiał się dziadowina i drżącą rękę wyciągnął do przybysza.

Uścisnął ją serdecznie poznany w ten sposób Szymek i chwilę jeszcze pogadawszy ze starcem poszedł prosto ku chałupie Jaśka Kostrzewy.

Gospodarze właśnie tylko co powrócili z kościoła, a głodna dziatwa obstąpiła matkę młodą, strojną, lecz bardzo niemiłego wejrzenia kobietę, dopominając się upragnionego posiłku. Jaśkowa wyszła do komory i wnet w ręku każdego dzieciaka zaświecił kawał żółtego pszennego placka tu i owdzie ubrany rodzenkami, łakomie zjadanemi przez małych żarłoków, a na stół wyjechały smaczne kiełbasy, malowane jaja i tym podobne wielkanocne przysmaki, do których zasiadł gospodarz wraz z sąsiadem, co wszedł z nim do izby; w tej też chwili zapukano do drzwi i nieznajomy z głosem: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“, ukazał się w progu. Wszyscy ciekawie podnieśli oczy, ale nikt nie pomyślał zaprosić do stołu przybysza.

— Janie! — odezwał się nakoniec wzruszony Szymon,—czy mnie nie poznajesz?—Jan zerknął okiem raz i drugi, ale pozostał milczącym.—Niechaj Bóg błogosławi waszym progom; pod tą strzechą pierwszy raz zobaczyłem światło dzienne, o! i twarze tych co tam już dawno śpią w świętej ziemi, — dodał nieborak ze łzami w oczach.

— Poco tu tyle gadania, — przerwał nielitościwy Kostrzewa,—jesteś Szymek Owsiak, syn mojej macochy, coś uciekł z chałupy niechcąc pracować przy moim ojcu; ale jeżeliś przyszedł po wsparcie, toś się nie w porę wybrał człowieku, mnie samemu bieda, dziecisków kilkoro, przednówek się zbliża, chybabyś chciał przystać do mnie za parobka, toby się tam może znalazł kawałek chleba i sukmanisko dla ciebie.

— Albo nam to źle z Grzelą?—wtrąciła gospodyni,—swój to tam nigdy człowieka nie usłucha.

— Pozwólcież mi przynajmniej przebyć święta

u siebie, wrócę napowrót zkądem przyszedł, — przemówił błagalnie Szymon.

— Mogłoby i tak być, odrzekł Jan,—ale że ja sam z kobietą idę jutro do brata na drugą wieś, toby wam było smutno samemu w chałupie.—A możeście głodni,— przerwała Jaśkowa Zośka!—dodała, obracając się do starszej córki: idźno, przynieś kromkę chleba z komory i kawałek sera, ot tego co tam odłożony na półce, rozumiesz?

Dziewczyna, posłuszna rozkazowi matki, wybiegła, a Szymon, obejrzawszy się raz jeszcze po izbie, przemówił do pozostałych:

— Bóg wam zapłać za wasz kawałek chleba, moi gospodarze, coście go może psu mieli porzucić; Bóg wam zapłać za waszą gościnność w chacie, którą wasz ojciec wydarł sierotom; dowiedzcież się że wcale nie potrzebuję waszego wsparcia—dodał, wyciągając wielki trzos z pod kapoty, z którego ukazały się ciężkie srebrne talary.

Na widok pieniędzy zmieniły się twarze gospodarstwa, a Jaśkowa przemówiła pierwsza, podsuwając miskę z kiełbasą.—Ale czekajcie jeno Szymonie, toć prawdę mówili nieboszczyk tatuś, żeśta zawsze byli bardzo nagli; siadajcież z nami i jedzcie co tam dał Pan Jezus na te kochane święta.

— Zośka!—krzyknęła znowu na starszą córkę, która właśnie wracała z komory z kromką chleba i krajanką spleśniałego sera, odnieś to zaraz niezdarzona dziewczyno! czyś nie słyszała, że ci kazałam przynieść duży kołacz z szafranem, co leży tam wysoko na półce.

Dziewczyna wielkie oczy zrobiła na matkę, nie rozumiejąc wcale jej rozkazu, zawróciła się jednak natychmiast, lecz nim wróciła z żądanym kołaczem, już Szymon wzburzony cały niegodziwem i obłudnem obejściem przyrodniego brata, szybkim krokiem mijał chałupę, kierując swoją drogę prosto ku wiejskiej kuźni, obok której mieszkała teraz rodzona siostra, wdowa z dwojgiem małoletnich sierot, o czem się już był przed kościołem od starego Kulawki dowiedział.

Katarzyna Woźniakówna nie poznała swego brata,

była ona jeszcze młodą dziewczyną wtedy, gdy zniechęcony nieludzkością ojczyma opuszczał bez pożegnania rodzinną wioskę; nic więc dziwnego, że jego rysy zatarły się w pamięci, przychylnem jednak okiem wejrzała na niego, gdy stanąwszy na progu izby zapytał nieśmiało: „Czy nie pozwolilibyście moja gospodyni wypocząć cokolwiek w waszej chacie strudzonemu wędrowcowi, któremu na same święta przez tę wieś droga wypadła“.

— A czemużby nie, siadajcie gospodarzu—przemówiła Woźniakowa—a zkądże to Pan Jezus prowadzi?

— O! z daleka, moja matko, toć już czwarty dzień jak jestem w drodze; miałem kiedyś ojców w tych stronach, ale już dawno pomarli,—tak prawił Szymon, a Katarzyna z widocznem zakłopotaniem krzątała się po izbie, nareszcie stanęła przed nim z małym garnuszkiem mleka i kawałem białego kołacza i nieśmiało podała je wzruszonemu bratu.—Wybaczcie, miły gościu, że wam przy święcie taką strawę podaję, ale Bóg świadkiem, że nie mam nic więcej w chałupie; byłoć wprawdzie i trochę mięsa,—ciągnęła dalej poczciwa kobieta, ale go te dwa małe żarłoki—dodała, wskazując na dzieci—zjadły, przyszedłszy z kościoła.

— Ale, ale,—zawołała wesoło, podbiegając ku szafie, oto mam jeszcze jedno jajko; jest ono ostatnie z półtorej kopy, co mi je kurki naniosły przed świętami, zjedzcież go z Bogiem gospodarzu; reszta poszła do miasta, bo mi przecież pilniejsze trochę soli i okrasy, choć przy święcie dla dziecisków, bo i tak naposzczą się dowoli niebożęta. To mówiąc, ze łzą w oku przytuliła dziatki do siebie, a Szymon, pokrajawszy nożem podane jajko, przemówił:—No! kiedy mnie Pan Bóg sprowadził do waszej chaty, to podzielcież się ze mną tem święconem jajkiem i życzcie mi szczęścia, a ja wam życzę, moja gospodyni, żebyście, da Bóg doczekać, na przyszłą Wielkanoc mieli wszystkiego poddostatkiem.

— Bóg zapłać za dobre słowo, gospodarzu! ale zkąd tam wdowie chudzinie myśleć o takiem szczęściu,—rzekła, dzieląc się jajkiem Katarzyna, a i wam niech Pan Jezus błogosławi na każdym kroku; — dodała, pa-

trząc życzliwie w oczy nieznajomemu. Szymon nie mógł już dłużej się wstrzymać.

— Katarzyno!—zawołał nagle, chwytając rękę dobrej wieśniaczki,—Pan Jezus już mi pobłogosławił, kiedy pozwala mi widzieć rodzoną moją siostrę tak ludzką i miłosierną.

— Rany Boskie!—krzyknęła Woźniakowa, chwyta-

...zjedzcie go z Bogiem gospodarzu...

jąc się za głowę, toś ty Szymek, a cóż się z tobą działo przez tak długie lata?

Tu nasz podróżny opowiedział w krótkich słowach zdumionej siostrze, że w rok po opuszczeniu rodzinnej wioski wszedł w służbę do pewnego bogatego młynarza, który od kilku lat już był wdowcem i gospodarzył z pomocą jedynej córki Józefki, dziewczyny kraśnej gdyby

róża, żywej jak skra do roboty, a słodkiej i potulnej jak baranek dla wszystkich; że mu ta Józefka bardzo przypadła do serca, a poczciwe ojczysko, widząc że i córka nie od tego, a Szymek, choć ubogi jest, jednak pracowity i porządny chłopak, nie chciał zagradzać szczęścia jedynemu dziecku i oddał ją w małżeństwo wygnanemu sierocie; że parę lat żyli szczęśliwie, ale potem Bóg ich nawiedził śmiercią kilkorga dziatek, co nareszcie i Józefkę do grobu wpędziło, wkrótce za nią poszedł stary młynarz, a Szymon sam jeden znowu pozostawszy na świecie, zapragnął raz jeszcze ujrzeć rodzinne strony i przekonać się czy jeszcze nie ze wszystkiem zapomniano o nim w Blizinie. Łatwo sobie wyobrazić uciechę Katarzyny; radość zaświeciła w ścianach ubogiej chaty, dzieci przytuliły się do wuja, który też odtąd nazawsze pozostał ich najtroskliwszym ojcem i opiekunem; rosły więc sieroty zdrowo i szczęśliwie na chwałę Bożą i pożytek ludzki, i z czasem wcale niezły odziedziczyły mająteczek, a dzieci Jaśkowe pomimo chciwości i skąpstwa rodziców, nie stały się bynajmniej pociechą dla nich w starości, a mienie wydarte kiedyś Szymkowi i Katarzynie, zostało marnie stracone przez wnuków Marka Kostrzewy, które nie znając co praca i oszczędność, za nic sobie ważyły spadek ojcowski. Dziś tułają się wszystkie po służbach; spełniło się na nich przysłowie, co to powiada: „Co chciwy dziad wydarł, to rozrzutny wnuk stracił“.

Bo co źle nabyte, moi poczciwi ludzie, to nigdy na korzyść się nie obraca.

Wypędzone nieszczęście.

Opare mil od Warszawy, nad samym traktem pocztowym, leży wieś Janów; majętność ta, zostająca w rękach uczciwego i dobrego człowieka, kwitnie porządkiem i zamożnością.

W tej to wsi właśnie, w starej ocowskiej zagrodzie, gospodarzył już od lat kilku Bartłomiej Piecyk, uczciwy, trzeźwy i pracowity i jak to mówią: „i do tańca i do różańca“. Wiodło mu się też wcale niezgorzej, tem więcej, że Bóg go obdarzył skrzętną żoną, która we wszystkiem chętnie dzieliła jego zachody i gdyby nie jedna wada, godna wielkiej nagany i bardzo szkodliwa, śmiało mogłaby służyć za wzór do naśladowania wszystkim swego stanu niewiastom. Wada ta jest nieszczęściem mimo licznych napominań kapłanów i ludzi oświeconych, aż nazbyt upowszechniona pomiędzy ludem wiejskim.

Piecykowa była nadzwyczaj zabobonna. Nieraz bez najmniejszego powodu chodziła z oczyma napuchniętemi od płaczu, a zapytana od innych zwierzała się w największej tajemnicy, że tej nocy śniło się jej, że przednie zęby wypadły, a to niezawodnie znaczy śmierć kogoś z blizko spokrewnionych; wybrawszy się w drogę za nic w świecie nie wróciłaby do chałupy, choćby po rzecz najpotrzebniejszą, żeby ją, jak mówiła, nieszczęście nie spotkało; w szkodliwą moc czarownic, w ukazywanie strachów, w zamawianie chorób, miała tak silną wiarę, że i najwymowniejszemu człowiekowi trudno ją było przekonać; a co już przyszłości swojej tak była ciekawą, że zapominała o najpilniejszej pracy, a nawet o jadle i o spoczynku, skoro się we wsi pokazała jaka baba uchodząca za wróżkę; a choć przez to bardzo często narażała się na gniew męża i śmiech rozsądniejszych ludzi, trwała nieporuszona w swoim błędzie, dopóki bolesne doświadczenie nie uleczyło ją nakoniec zupełnie.

Było to raz w samej jesieni, obszerne pola zieleniły się już oddawna wschodzącą oziminą lub sterczały ostatkiem pościnanej słomy, a ludzie na gwałt krzątali się około kopania ziemniaków, bo już rankami mroźny szron osiadał na trawie, a ciężkie szare chmury sunące w powietrzu zdawały się lada dzień śniegiem zagrażać. Z chaty Piecyka wszystko co żyło wyruszyło w pole, sama tylko gospodyni, oczekując ostatniej fury z pola, kręciła się po izbie, przyrządzając wieczerzę dla spra-

cowanych robotników. Przystawiła ogromny garnek do ognia, nałożyła świeżą kądziel i zasiadła przy kominie, kiedy wtem drzwi chaty skrzypnęły a na progu ukazała się stara cyganka i bystrymi oczyma rzuciła po wszystkich kątach. Ta twarz wyżółkła i pomarszczona, na pół osłonięta podartą płachtą, była tak straszna, że Piecykowa mimowolnie krzyknęła.

— Nie bójcie się, moja kochana gosposiu, — przemówiła pieszczotliwie cyganka, — toć ja nie przyszłam w złej myśli do was; idę sobie ot tak zwyczajnie, przez okno zobaczyłam taki jasny ogień, myślę sobie: wejdę ja tam, zapewne muszą być tam jacyś dobrzy ludzie, co nie odmówią starej troszkę miejsca przy kominie, żeby ogrzała kości stężałe od zimna, a mam też i karty z sobą; może wam kabałę położyć gosposiu, już ja po oczach widzę, że wam los nieźle stoi, a jak wywróżę co dobrego, to mi może ofiarujecie choć szczyptę soli, choć parę ziarnek kaszy, choć kawałek słoniny, boć tu u was widzę wszystkiego dostatek, a ja już od trzech dni ciepłej strawy w ustach nie miałam.

Na widok kart i wzmiankę o wróżbie, zajaśniały oczy zabobonnej wieśniaczki, co spostrzegłszy stara bez dalszego badania zasiadła przy niej na ławie i na obok stojącym stołku poczęła rozkładać brudne, zużyte karty. Piecykowa zapomniała o wszystkiem i ciekawie przysłuchiwała się cygance, która zrobiwszy nadzwyczaj groźną minę, zabrała się do wykładania kabały.

— Moja gospodyni — mówiła chrapawym głosem oszukanica — po tem wszystkiem co tu stoi, mogę wam powiedzieć, że was czeka w tej chacie okropne nieszczęście.

Biedna Piecykowa zbladła ze strachu i chwyciła się obiema rękami za głowę.

— Czarno i czarno, — mruczała dalej cyganka: — choroba, śmierć, pomór na bydło, nieurodzaj; żal mi was poczciwi ludziska.

— O mój Boże! — jęknęła zatrwożona wieśniaczka, a łzy jak grad potoczyły się po jej twarzy.

— Nie płaczcie no tak, moja gosposiu, bo i mnie

się ckliwo robi na sercu, a słuchajcie lepiej co wam powiem: Mój ojciec był wielkim czarownikiem, ale nim umarł zostawił mi taką księgę, co to w niej są zamawiania na różne nieszczęścia, umiem i ja nie jedno i je-

...mogę wam powiedzieć, że was czeka w tej chacie okropne nieszczęście.

żeli chcecie, to wam tak wystraszę biedę na bory, na lasy, że więcej nie trafi do waszej chaty.

— A mojaście złota, róbcie co wam się podoba,— przerwała łatwowierna kobieta, — a dam wam chętnie na co mię stać w chałupie,—dodała błagalnie, spoglądając na wróżkę.

— Dobrze, dobrze, — odmruknęła cyganka, — ale przez cały czas moich czarów musicie stać spokojnie twarzą do komina i nie odwracać się ani na chwilę, choćbyście nie wiem co słyszeli i widzieli, inaczej wszystko za nic; a czy wszystkie zamki pootwierane? — zapytała, spoglądając po izbie.

Piecykowa skoczyła do komody i, nie myśląc o tem co robi, pozostawiła wszystko otworem, sama zaś według zalecenia cyganki wróciła do komina, a chociaż woda wstawiona na zacierkę do połowy już wykipiała, nie śmiała nawet poruszyć garnka, ażeby nie popsuć dobrego skutku czarów; czas jakiś szepty i krzątania cyganki rozlegały się w chacie, parę razy drzwi skrzypnęły z pośpiechem, lecz po chwili wszystko umilkło, nasza gospodyni nie śmiała się jednak ani ruszyć z miejsca.

Obróciła się nakoniec, mimowoli słysząc zajeżdżającą furę i gniewny głos męża przed chatą. Lecz jakież było przerażenie zabobonnej niewiasty, gdy obejrzawszy się po izbie spostrzegła zniknięcie cyganki, a wraz z nią wszystko, co się tylko dało zabrać naprędce, wszystkie drobne sprzęty domowe, pościel, odzież odświętna, nawet niecałka z przygotowaną na wieczerzę zacierką zniknęły bez śladu; w komorze gorsze jeszcze zostało spustoszenie.

Tu dopiero poznała swój błąd i oszukaństwo cyganki, wybiegła przed chatę i z głośnym płaczem opowiedziała mężowi cały wypadek. Piecyk mocno się rozgniewał, lecz nie tracąc czasu pobiegł natychmiast do wójta gminy, celem uzyskania pomocy w schwytaniu cyganów. Wkrótce, staraniem tego ostatniego, złodziejską bandę schwytano, pomimo jednak największych usiłowań część skradzionych rzeczy już nigdy nie wróciła do gospodarzy.

Nieszczęście to wyszło jednak na korzyść naszej Piecykowej, gdyż odtąd przestała wierzyć we wszystkie gusła i zabobony, a jeżeli kiedy zdarzy jej się mimowolnie wrócić do dawnego błędu, dosyć jest tylko wspomnieć o wypędzonym nieszczęściu, aby myśli jej cofnąć na właściwą drogę.

Jak Maciej Palas wyszedł na puszczaniu krwi.

Któż nie znał Macieja Palasa z Wielopola; chłop to był sążnisty jak sosna, szeroki w plecach jak nieprzymierzając niedźwiedź, a taki silny chłop, że jak chwycił podkowę w ręce, to ją na połowę przełamał. W całej wsi wszyscy parobcy schodzili mu z drogi i żaden nie śmiał z nim stawać do bitwy, boby mu kości pogruchotał.

Nie było ani jednej dziewuchi we wsi, żeby mu się udała. Na każdą miał coś powiedzieć: ta była za mała, tamta za cienka, trzecia nieurodna, czwarta niegospodarna, jednym słowem, że sobie nie mógł dobrać żony pomiędzy swojemi, ale wreszcie upatrzył w Kobylem Polu smagłą i żwawą dziewuchę, której było Magda na imię i z nią się ożenił.

Maciej był ochoczy do pracy, robota paliła mu się w ręku, czego się tknął to tylko warczało i trzeszczało mu w dłoniach, taki był zdatny. Nie brakło też na ochocie do gospodarki i Magdzie, dość na tem, że im się wiodło na swojem tak, że po roku nietylko przykupili dwie krowy, ale jeszcze Maciek schował okrągłe pięćdziesiąt talarków do skrzyni, bo wtedy jeszcze talary istniały na Bożym świecie.

Od dzieciństwa Maciek ani razu nie chorował, zawsze był zdrów jak ryba i nie narzekał na żaden ból. Aż raz pod zimę, wracając z lasu późno w nocy, zmókł srodze i zaziębił się mocno. Ksiądz dobrodziej doradzał mu, spotkawszy go na drodze jęczącego, żeby poszedł zaraz do domu, rozebrał się, wlazł pod pierzynę, wypocił się należycie, zaręczając, że będzie zdrów.

Maciek postanowił tak zrobić, ale skoro przyszedł do domu i począł narzekać bardzo. wnet nazlatywało się bab co niemiara i jak poczęły między sobą radzić, tak stara Onufrowa zawołała:

— Hej Maćkowa! już wasz mąż z tego nie wyjdzie, chyba że mu puścić każecie z pół kwarty krwi;

wiem ja to dobrze, bo mój nieboszczyk zawsze tą się krwią utrzymywał i dopóty, dopóki nie umarł.

Maćkowa kazała parobkowi zaprządz do wózka i pojechać do miasta po felczera. Ten w lot przyjechał i puścił gospodarzowi spore dwie miseczki krwi. Na ten raz niby trochę pomogło, a Maciek chociaż jeszcze słaby, przecież wstał z łóżka i chwycił się roboty; baby widząc to, nie mogły się po całej wsi nawychwalać, jaka to z tej Onufrowej lekarka. Sam Maciek nawet myślał, że mu krew dobrze zrobiła, a to wcale nie krew, tylko to, że się przez kilka dni w łóżku wyleżał i dobrze wypocił. W pół roku potem Maciek dźwignął przewrócony wóz z drzewem i jakoś mu niedobrze było, więc już nie radził się Onufrowej, ale co tchu poleciał do miasta i znów sobie kazał puścić za całą złotówkę krwi, której, jak możecie miarkować, felcer wcale nie żałował, bo chciał gospodarza ucieszyć i raz na zawsze do siebie przynęcić.

Jak też raz począł puszczać krew Maciek, tak też sobie w tem tak zasmakował, że się już bez niej obejść nie mógł. Jużto co rok na święty Jan regularnie na krew chodził, ale prócz tego niech go cokolwiek zabolało, zaraz pędził do felczera i kazał ją sobie puszczać.

Miły Boże! co się wkrótce z tego chłopa zrobiło. Z takiego siłacza stał się herlak mizerny, skrzywił się i duszność męczyła mu piersi, że ciągle kaszlał i kaszlał, coraz mniej mógł robić, coraz bardziej słabiał, aż się ludzie po wsi dziwili, a nikomu na myśl nie przyszło, żeby to pochodziło od częstego puszczania krwi. Zawsze mu było zimno, stracił chęć do jadła i wyglądał jako dąb uschły w lesie.

Ale najsmutniejszy był koniec Maćkowi.

Opowiadał mi to jeden kupiec z tego samego miasteczka, gdzie mieszkał felczer, do którego Maciek tak często chodził. Jednego dnia był ów kupiec u felczera ogolić brodę i zastał tam już dwuch gospodarzy wedle pieca stojących z zakasanemi rękawami i rękami gołemi, czekających na puszczenie krwi. Na środku izby stał stołek, a na nim siedział Maciek. Felczer trzymał go za lewą rękę, z której obficie krew płynęła. Maćko-

wa stała naprzeciw felczera i rozmawiała z nim zagadując umyślnie, żeby mężowi więcej krwi uszło, bo myślała, że im więcej, tem lepiej. Wtem Maćkowi nagle pochyliła się głowa naprzód, krew iść przestała i omdlał.

Krzyknęła ze strachu Maćkowa, przeląkł się srodze i sam felczer, począł Maćka trzeźwić i po długiej pracy ledwie się udało im przyprowadzić go do przytomności. Potem włożyli go oboje na wóz i Maćkowa powiozła męża do domu na wpół żywego.

Felczer trzymał go za lewą rękę, z której obficie krew płynęła.

Kwękał Maciek jeszcze przez dwie niedziele. W końcu, gdy widzieli, że mu nic nie pomaga, sprowadzili doktora z miasta, ale ten gdy chorego obejrzał, pokiwał smutno głową, pocieszył go jak mógł, ale gdy wyszedł przed dom, powiedział bez ogródki Maćkowemu bratu, że już nic nie pomoże, bo puszczanie zby-

teczne krwi na nic Maćka osłabiło. Jakoż w kilka dni potem oddał biedny gospodarz ducha Bogu.

Cała wieś żałowała Maćka, bo był bardzo dobry gospodarz, a przez swoją głupotę marnie zszedł z tego świata, w młodych jeszcze latach.

Teraz wam wytłomaczyć muszę, co to znaczy krwi puszczanie.

W dawnych czasach póki doktorska nauka była bardzo mizerna i tylko szło wszystko na domysł, umyślili sobie starzy doktorowie, że we krwi robi się klejowatość, że się krew zanieczyszcza i że trzeba krew złą z ludzi wypuszczać i puszczali też krew bez miary. Później, gdy się nauka bardziej podniosła i nastało dużo ludzi pracowitych i mądrych między doktorami, przekonali się, że to bajki: że puszczanie krwi tylko ludzi osłabia, ale wcale nie pamaga; że niema złej krwi, ani dobrej krwi w ręce lub w nodze, tylko w całym człowieku krew jednakowa, że jak się zepsuje, to cała i całą też trzeba leczyć lekami, ale niema wypuszczać trochę z chorego. Krew to najdroższy skarb w człowieku, nigdy jej też nie jest za wiele, osobliwie u włościan, którzy ciężko pracują, a licho jadają. Kto krew puszcza, ten się osłabia, a życie skarb. Cóżbyście powiedzieli o człowieku, coby 10 złotych zgubił, a potem chcąc na tę zgubę poradzić, sto złotych porozrzucał po polu. Otóż tak samo głupio ten robi, co krew puszcza i największy skarb ciała swojego rozrzuca marnie. Felczerzy radzi puszczać, bo za to pieniądze biorą i dlatego ludzi do puszczania namawiają, nie zważając, że dla kilku groszy zarobku, kilka lat im życia ujmują.

Gdyś chory radź się mądrego doktora, ale nie szarlatana lub felczera, a doktór gdy ujrzy, że ci trzeba krew puścić, to ci każe puścić ile potrzeba, ale sam nie szafuj krwią, bo nietylko zdrowiem przypłacisz, życia przykrócisz, ale jeszcze i przed Bogiem zdasz na sądzie ostatecznym ciężki rachunek, żeś zdrowie dane od Boga zmarnował i przyśpieszył śmierć głupiem krwi puszczaniem.

Historya o Katarzynie.

(Złej słudze).

Jedni młodzi państwo z miasta kupili sobie mały folwark na wsi i zaczęli gospodarować. Mało mieli i mało co umieli gospodarować, nie raz im też dała się bieda we znaki, i nieraz musieli zapłacić za naukę. Ale że mieli szczere chęci, poczciwe serca, i przywiązali się serdecznie do tej pracy koło świętej ziemi i do ludu wiejskiego, więc nie dali się zaraz zniechęcić różnemi niepowodzeniami, ale imali się szczerze pracy i przy kłopotach. przy frasunkach dalej gospodarowali na swoim kawałeczku ojczystej ziemi i za nic w świecie nie byliby go porzucili. Więc pracowali, nie przymierzając jak ten młody a słaby jeszcze żeniec, który stanie rano na swoim zagonie; słońce piecze, krzyże bolą, ręce ustają i do wieczora daleko, ale on westchnąwszy żnie i nie zejdzie z zagona aż słoneczko zajdzie. Mieli ci młodzi gospodarze kilkoro chudoby w oborze i pole do uprawy, więc potrzebowali sług. Jakoś we dwa roki od początku swego gospodarowania trafił im się porządny parobek z tej samej wsi, co sługiwał od dzieciństwa i ochędóstwo miał należyte; więc też z ochotą przyjął go młody pan, bo Paweł znał się na gospodarstwie i dobrze robił w polu, a takiego trzeba było właśnie młodemu i niedoświadczonemu gospodarzowi. Pani zaś młodziutka, z dzieciątkiem niemowlęciem, nie mogła sobie rady dać i szukała jakiej służącej, coby i jeść ugotowała, i uprała i rozumiała coś przecie koło domu. Właśnie jej się odprawiła służąca, dziewczyna z miasta, bo jej się nie chciało służyć na wsi bez muzyki i bez kawalera, więc młoda pani szukała sobie jakiej wiejskiej, coby ją sobie przyuczyła i spuścić się na nią mogła.

Jednego wieczora w zimie, ostry mróz był i śnieg sypał; świeca się paliła na folwarku, a pani kołysała dziecko i robota jej leżała na kolanach. Pan zapisywał młocków, najęta dziewczyna paliła w piecu, gdy zapu-

kał ktoś do drzwi, i weszła kobieta w nędznej, odartej płótniance, w przemokłych chodakach, trzęsąc się od zimna. Był wtedy rok bardzo głodny i przed ubóstwem nie zamykały się drzwi; opatrzyli ją więc litościwi państwo, tak chętnie, jak każdego ubogiego, a ona przyjąwszy jałmużnę, rzekła: że szuka służby po dworach i umie robotę. Litościwym duszom niewiele trzeba było; spojrzeli po sobie i bacząc na nędzę kobiety, przyjęli ją i zostawili u siebie. Więc Katarzyna, to tak się nazywała ona kobieta, została się z wielką wdzięcznością i obecywała, że będzie wiernie służyć, choćby do śmierci dobremu państwu.

Niedługo służyła Katarzyna na folwarku, a nawet się pokazało, że była bardzo zręczna i tem umiała sobie zyskać takie zaufanie młodej pani, iż potem miała wszystko pod sobą. Ona szła sama do spiżarni, do spichlerza, do bielizny; ona rozporządzała nabiałem, gotowała i wszędzie sama gospodarzyła.

Zle to robiła pani, bo to najlepiej nie dawać sługom sposobności do pokusy, a wielka w tem jest prawda, że gdzie nie doglądniesz okiem tam dołożysz workiem! Ale niema co się dziwić młodziutkiej pani: ona myślała, ze każdy taki poczciwy jak ona, coby na włosek nikomu krzywdy nie zrobiła. Nie miała też biedaczka nieraz czasu, dzieciątko jej drugie przybyło, a ona sama karmiła i bawiła, bo nie w stanie trzymać piastunki; obszyć musiała męża i dzieci i w izbach czysto uprzątnąć, rada więc była mieć się na kogo spuścić.

A tymczasem któż by się był spodziewał, że Katarzyna kradła niemiłosiernie, kradła dobrą panią! Ludzie tamtejsi wiedzieli co się na folwarku święci i kiwali głowami, ale żadne nie śmiało powiedzieć głośno. Niemal co piątku wypraszała się katarzyna do miasta, a nigdy nieszła próżno; pani tylko nie wiedziała o tem. Więc ona złodziejka oporządziła się wnet we wszystkiem i piękniej ubierała, jak najbogatsza gospodyni we wsi. Niedługo za nią przyszedł do folwarku i syn jej mały, chłopiec dwunastoletni, o którym nic nie mówiła że go zna, a przyszedł obdarty i nędzny; zmiłowało się państwo i pozwolili mu być przy matce; pasła go więc

matka, a on jadł, spał, a do roboty to płakał. Drugiej służącej Katarzyna nie mogła ścierpieć przy sobie, i choć się trafiała dwa razy, to ona ją wygryzła, aby nie było nikomu ją podglądać, a dobrej pani tromaczyła, że nie ma potrzeby trzymać drugą, bo ona sama wszystko zrobi. Z Pawłem parobkiem, który się z początku krzywo na nią patrzał, prędko sobie dała radę i tak go wygłaskała, że się szalenie chłopisko w niej rozmiłowało, a go namawiała, żeby się z nią ożenił, i dopóty biegała to do kabalarki, to do bab, i płaciła im aby go rozczarowały, póty mu rozgadywała jak im będzie dobrze gdy się pobiorą, aż chłop dał się namówić, i zaniósł na zapowiedzi. Katarzynie podobały się pieniądze, które Paweł miał po ludziach, podobały jej się dwa byczki czarne co stały u państwa na stajni, i podobał jej się młody chłop, głupi a potulny, dla tego tak gorąco zachodziła koło niego.

Odtąd więc porozumiawszy się wszystko troje, okradali też we trójkę biedne młode państwo. Gdy się mąka zmiełła w młynie, to gdzieś niknęła piorunem, gdy się wieprzak karmny zabił, to omasta rozeszła się duchem i tak było ze wszystkiem.

A gdy się pani dziwiła, albo zaczynała podejrzewać Katarzynę, to tak umiała mądrze panią przekonać, jak to ciężko wyjść na małem gospodarstwie; pan zaś widząc jak nie może nastarczyć na życie, gniewał się i nieraz bywało przykrzyczał jeszcze na żonę.

A trzeba wiedzieć, że żyli oni bardzo skromnie, rzadko kiedy mieli mięsa kawałek na obiad, a na Wielkanoc nieraz dość im była pszenna bułka, a czeladzi zawsze uczciwe święta sprawiali. Niepoczciwa Katarzyna okradała ich i ich dzieci, choć oni jej dziecko przygarnęli i ją z nędzy wyciągli. Ale Pan Bóg sprawiedliwy, czy prędzej, czy później karze krzywdę ludzką!

Otóż w kilka niedziel ożenił się Paweł z Katarzyną, państwo im wesele sprawili, pan dał im na odrobek ogród, a Paweł sprzedał byczki i kupił drzewa na cha-

łupę, którą postawił w ogrodzie. Po trzech latach służby szli teraz na swoje, a niebyło tam wszystko swoje, bo było i kradzione, a Pawłowie nie pamiętali na gadkę ludzką: że cudze nie grzeje! Nie darzył też Pan Bóg ich robocie, ludzka krzywda nie dała spokojnie używać dobytku. Póki było lato, to jako tako, ale jak przyszła zima, przyszła i bieda, Katarzyna i chłopczysko pracować nie chcieli, z gotowego się ciągło na chleb, na sól i na życie. Więc niezadługo wzięli się na sposób: Katarzyna namówiła męża, i w nocy wyprawiła go do pańskiej stodoły po zboże w snopach, ale że wtedy lepsi byli słudzy na folwarku, więc złapali go i dali znać panu o tem. Pan puścił Pawła z łaski, ale odtąd już nie mieli przystępu do folwarku i nic o nich nie chciał pan wiedzieć. Mógł ich nawet wypędzić z ogrodu swojego, ale miłosierne miał serce, i co komu udzielił to ju nie chciał odbierać. Siedzieli więc Pawłowie w chałupie swojej i Bóg wie jak tam żyli i z czego żyli; nieraz tylko Paweł między ludźmi żałował, że się ożenił i służbę porzucił, bo nie tak łatwo było w one bardo drogie lata żyć bez gruntu na chałupie i nie zarabiać, a robić im się strasznie nie chciało. Na służbie łóżko i miska były gotowe, i nieraz się jeszcze przebierało i wymyślało, a na swojem nie było nieraz suchego kawałka chleba.

Gdy im w końcu bieda dobrze się dała we znaki, poszła sobie Katarzyna z chłopcem gdzieś jak mówiła, a Bóg wie gdzie tam ci swoi byli, i zostawiła Pawła chorego w pustej i zimnej chałupie. Zaniemógł nieboraczysko na nogę, i o swojej sile stanąć nie mógł, a niepoczciwa żona porzuciła go. Leżał w koszuli czarnej jak noc, nędza go nasiadła, a nie było komu łyżki wody podać, tylko jedna litościwa sąsiadka, która albo im przyniosła strawy, albo i nie, a wszyscy mówili do siebie: że krzywda ludzka zaczyna wychodzić. Pawlisko jednego dnia wygłodniały, zczerniały, wylazł z chałupy na rękach i nogach, i tak czworakiem przywlókł się aż na folwark, i z płaczem zaczął przepraszać i prosić ratunku, narzekając na złą żonę i przeklinając ją, że go do wszystkiego nieszczęścia przywiodła.

Pani ze łzami w oczach dała mu maści na ranę, nakarmiła i pożałowała go szczerze, a mówiła mu, żeby żony nie przeklinał, tylko jak mu Bóg da zdrowie, aby się wziął do pracy i nie obrażał Pana Boga grzechami. Paweł żałował, serdecznie dziękował i przy pomocy Boskiej i miłosiernego państwa przyszedł znowu do sił, ale nie chciał już słyszeć o złej żonie, jeno poszedł na służbę do gospodarza na drugą wieś.

Tymczasem Katarzyna wróciła z chłopcem do chałupy i co przesiedzieli jakiś tydzień o tem co przynieśli, to wyprawili się znowu gdzieś po świecie; woleli żebrać jak pracować. Aż wreszcie z końcem wiosny na najcięższym przednówku, przyszła zkądeś Katarzyna bardzo zmieniona i słaba, i położyła się w chałupie na śmieciach na garści słomy. Teraz Pan Bóg na nią zesłał kolej. Wpadła w niebezpieczną chorobę, która się nazywa tyfus. Leżała w strasznej gorączce i zdawało się, że już śmierć niedaleka. Skoro się o tem pani z folwarku dowiedziała, tak przybiegła zaraz, niepamiętna żadnej urazy ani żadnej krzywdy. Straszny zastała widok: we własnem plugastwie leżała Katarzyna na garści słomy, sama jedna jak trup zmieniona, bez głosu prawie; przytomna jednak była i poznała panią, której tyle krzywdy wyrządziła. Pocieszała ją pani i czem mogła starała się jej ulgę przynieść; własną ręką podścielała jej słomę, głowę obwiązywała i chłodzącym napojem zalewała. Katarzyna nie mogła mówić, tylko patrzyła na nią takiemi oczami wlepionemi, jakby ją przebłagać chciała. Po dwóch dniach zrobiło jej się gorzej; wieczorem zlękła się pani o jej życie, a dbając więcej jeszcze o duszę jak o ciało, spytała Katarzyny czy chce przyjąć Najświętsze Sakramenta. Słaba jęknęła grobowym głosem, że bardzo pragnie; więc pani natychmiast w nocy pobiegła do jednej baby poczciwej, co ją znała dobrze, i sprowadziła ją aby zrobiła porządek w chacie, a Katarzynę przeniosła do izby i czysto oblekła.

Tak minęło do rana. Równo ze świtem wybrał się ksiądz proboszcz do słabej. Dzwonek chłopca zwiastował wzdłuż wsi, że Jezus Chrystus idzie sam posilić

umierającego, więc ludzie klękali po drodze i żegnali się. Pani tymczasem modliła się gorąco za tę duszę, która miała stanąć przed Boskim sądem sprawiedliwym, a po odbytej spowiedzi i przyjęciu Najświętszego Sakramentu, przyszła znowu do Katarzyny, która w chacie na ławkach okryta czysto leżała, a przy niej siedział jej chłopiec, który właśnie przyszedł z żebraniny i stara kobieta ze wsi. Katarzyna wdzięcznie spojrzała na panią, była spokojna, a nawet zdawało się, że jakoś jej lepiej. Przemówiła cicho i bardzo dziękowała pani, że przez nią nie umrze bez Pana Boga, a łzy jej płynęły z ócz.

Ale Pan Bóg inaczej chciał; nie umarła Katarzyna, lecz od tego dnia zaczęło się jej powoli polepszać. Pani co dzień przybiegała, donosząc co miała najlepszego, a kradła się biedaczka przed własnemi sługami i od swych ust odejmowała, bo wstyd jej było, aby wszyscy wiedzieli, że ona ratuje Katarzynę, bo już to kto dobrze robi, nie powinien szukać chwały i ludzi. Niebawem przyszła Katarzyna zupełnie do zdrowia; myślicie moi ludzie, że ta kobieta się upamiętała przez strach śmierci i porzuciła grzechy swoje?

Oj nie! twarde było jej serce na głos Boski! Oto nie upłynął jeszcze ani miesięc od czasu, jak wyzdrowiała, w same Zielone Święta na folwarku byli goście; krewni zjechali się z daleka, i młoda pani przysposobiła sobie naprzód co mogła.

I zdarzyło się, iż idzie jednego dnia do piwnicy za czemś pilnem, patrzy i aż się zapomniała! W piwnicy nie było ani masła, ani sera, ani śmietany, ani naczynia z tego wszystkiego! Zafrasowała się bardzo młoda pani, bo jej to wielką zrobiło szkodę, jeszcze przy gościach; dziewczęta dwie, które służyły u niej, popłakały się aż z żalu, bo na nich posądzenie padło, a wszyscy się dziwili, bo kłódka od piwnicy była zamknięta i nieruszona. Żeby to na tem koniec! Ale to jeszcze dwa razy powtarzały się te kradzieże z piwnicy, a śladu nie było żadnego. Nie mało szkody i nie mało frasunku.

Aż chciał przypadek, że pewnego dnia jeden z tamtejszych gospodarzy schwycił na gorącym uczynku chłopaka Katarzyny, kiedy ciągnął z płota koszulę jego do siebie na podwórze; narobił hałasu, zawołał wójta i przysiężnego i domagał się, aby chłopca ukarać i wybadać o co wiecej, bo dawno miała go wieś w posądzeniu. Wójt zabrał się do niego srodze, a chłopiec przelękniony jął wszystko wypowiadać co tylko ukradł, a do wszystkiego matka mu dopomagała, albo mu kazała kraść.

Pani tymczasem modliła się gorąco za tę duszę...

I tak wyszła na jam kurka sąsiada, gęś wójtowa, sztuka płótna Karolowej, a i pańskie masło i ser z piwnicy. Do tej nieszczęśliwej piwnicy spuszczała go matka w nocy okienkiem na sznurze, i wyciągała pierw naczynia, potem jego. Patrzcież moi ludzie! Zdumieli się też wszyscy nad niewdzięcznością i niepoczciwością Ka-

tarzyny, a przyprowadzono ją do karczmy, aby i jej wymierzyć sprawiedliwą karę. Wójt chodził naumyślnie do państwa z doniesieniem o tem złodziejstwie i pytał się, jak sobie życzą aby ukarać złodziejów.

Pan za swoją pracę nie chciał żadnej kary, ale za inne sprawki wójt nie darował, a pani biedna aż osłupiała z żalu, gdy sobie przypomniała Katarzynę na śmiertelnej pościeli, której ciało i duszę ratowała. Westchnęła sobie w duchu i spuściła głowę, bo gdzież na tym świecie szukać odpłaty za dobry uczynek! Ale Pan Bóg stawia nieraz naumyślnie przed oczy ludzkie takie niedobre przykłady, aby pokazać jakto idzie do wielkich grzechów ten, kto sobie w małem złem pofolguje, i jaki bywa koniec takich grzesznych ludzi.

Od czasu ostatnich kradzieży, Katarzyna shańbiona i wypędzona ze wsi, poszła i nie pokazała się więcej.

Ogród nie odrobiony wrócił do pana, chatę sprzedał mu Paweł i rozebrali ją. Często wspominano we wsi o Katarzynie, lecz długo nikt ne wiedział gdzie się obraca.

W rok dopiero, zimą, zjawił się po żebraninie chłopak Katarzyny i zaszedł do folwarku za jałmużną. Nie odmówili mu jej, bo nigdy biedny nie odszadł ztamtąd bez opatrzenia, a gdy zapytano go o matkę, powiedział, że słaba była i nie miała siły chodzić, a w Kulikowie powiedzieli mu, że jego matka przed miesiącem umarła w areszcie.

Nie było tam iskry żalu w tym zatwardziałym synalku.

Jakiego wychowała, takiego miała owa niedobra matka, i jeszaze tej boleści przed swą śmiercią doznała, że ją dziecko własne porzuciło. A umarła nędznie, bez Świętych Sakramentów, opuszczona i w areszcie.

Dobra pani z folwarku dała na mszę świętą i westchnęła do Boga, aby jej odpuścił ciężkie grzechy.

Więcej nikt nie wspomniał o niej; ale wie tam Pan Jezus o niej i o jej wszystkich uczynkach, bo On ciężko karze w tem i w przyszłem życiu kradzież i krzywdę ludzką. A choć nieraz i ludzie nie wiedzą, to Pan Bóg widzi i zapisuje wszystko, a porachuje na sądzie ostatecznym.

Zli sąsiedzi.

We wsi Powodny było dwóch gospodarzów nieostatnich, co się mieli nieźle, boć dał im Pan Jezus i grunta dobre i pracy dostatkiem. Jeden się zwał Szymon Gwizdoń, a drugi Wojtek Sroka. Chałupy ich były blisko, bo tylko ogrody szły sznurem długim i tylko miedzą graniczyły. Jak to na wsi bywa między ludźmi rozmaicie, tak i ci gospodarze mieli ciągle kłótnie i zwady między sobą. To raz krzyczy Szymon: — A co to wy Wojciechu robicie; toć wasze bydło stratowało mi jęczmień i owies od końca do końca. Co to będzie z tego?— A Wojciech mu na to odpowie: — Ja go tam nie zaganiał, a zresztą i wasze bydło narobiło mi szkody co niemiara.—I nuż od słowa do słowa, od przezwiska do obrazy Boga, aż narobiło się hałasu i gwaru, co nieraz było słychać po całej wsi, a ich wyzwiska straszne odbijały się aż o dwór i święty kościół.

Nigdy też jeden drugiemu nie ustąpił ani pofolgował; nieraz od północy wygadywali na siebie niestworzone rzeczy, a każdy od swej chałupy krzyczał co mu gardła stało, osobliwie Szymon Gwizdoń był cięty jak ostra siekiera. Po takiej kłótni sprowadzali się do karczmy na drugi dzień i tam w gromadzkim sądzie przepraszali się przy dobrym napitku, a jak się wytrzeźwili to znowu nowe swary i publika straszna.

Przez tych dwóch gospodarzy nie było nigdy spokoju we wsi, a tylko obrazy Bożej i ztąd zgorszenia bardzo wiele.

Więc raz zawołał ich pan do dworu, a był to pan mądry i sprawiedliwy, co go tam i najgorszy musiał pochwalić, a ten pan tak rzecze:

— Moi dobrzy ludzie! — czemu wy się zawsze kłócicie? Macie takie grunta, macie i gospodarstwo, macie dziatki zdrowe i dobre, czyż nie moglibyście siedzieć cicho, spokojnie jak u Boga za drzwiami? Co wy chcecie? co wy macie do siebie? — Na to zaczęli oba razem gadać: i Wojciech i Szymon, a tak raźno i gło-

śno, że pan ani słowa wyrozumieć, ani ich pogodzić nie mógł; i byliby się może poczubili między sobą, gdyby to nie we dworze i nie przy dobrym panu. Aż się zmordowali gadaniem, a tu o nic nie szło innego, tylko o szkodę, którą głupie bydle jednemu i drugiemu czasem zrobiło. Gdy trochę ucichli, pan znowu ich godzi i tak mówi:

— Toć to trudno obejść się bez szkody, gdzie jest gawiedź i chudoba! I twoje wlezie na cudze, a cudze na twoje, toć nigdy nie może gospodarz zebrać wszystkiego co wysiał: bo jedno ziarneczko zje ptaszek, który ani sieje, ani orze, jeno śpiewa tak łagodnie ludziom i nad dachem i na polu przy robocie i w ogródku i w leszczynie; a drugie ziarneczko znowu to zgnije w jesieni, to wymarznie w ciężką zimę, to nie zejdzie, to go robaki zjedzą; wszak i o tem biedactwie Pan Jezus pamięta; a trzecie znowu wyrwie bydlę albo go wydepce, a może dziesiąte urośnie i wraca do stodoły gospodarskiej! Zresztą, toć to zjada twoja chudoba, to niech jej wyjdzie na zdrowie. I o cóż tu się kłócić i swarzyć?

Na to rzekną gospodarze:

— Toć pan świętą prawdę mówi; ale na co ma być szkoda, na co robić tak jakby naumyślnie?

Ale pan godzi ich i prawi:

Naumyślnie to tylko złodziej lub zły człowiek robi szkodę, a wy oba przecie ludzie dobrzy i pierwsi na wsi kmiecie. Oto podajcie sobie ręce i żyjcie w zgodzie. I nibyto zgodzili się Szymon z Wojciechem i szli do domu, ale w sercu ich była tam zawsze zawziętość. Boć to i prawda, że kto się lubi kłócić, temu lada włos zaszkodzi, i o głupią trzodkę będzie wygadywał, jakby Bóg wie o co! Tak też Szymon z Wojciechem ledwo noc cicho przespali, a na drugi dzień w południe już się kłócili o nową szkodę. I nie było na to rady, aż ich zawołał sam ksiądz i nuż im prawić:—Przecież ja myślałem, że wy ludzie pobożni, bo co prawda to prawda, że bywacie w kościele na nabożeństwie bo i pracu-

jecie i nie przepijacie, i o dzieci dbacie: ale wy nie jesteście ludźmi jak się patrzy. Na co to tyle obrazy Bożej, tyle wywoływania, tyle publiki strasznej.

A Szymon czerwony rzeknie:

— Na co on mi robi tyle szkody?—i popatrzył na Wojciecha, jakby na rabusia, co sto wsi spalił.

A Wojciech do żywego tknięty, znowu gada:

— To ty mi robisz szkodę! — bo jabym nie tyle miał zboża w stodole, żeby nie twoje bydło i nie twoja gawiedź.

I znowu zaczęli sobie dogadywać, aż ksiądz mówi:—Bójcie się Boga!—zobaczycie, że ani wy Szymonie, ani wy Wojciechu nie będziecie pożywać tych darów Boskich, które wam tak pięknie rosną na polu. Jak będziecie oba źli, to musi być zawsze źle, ale albo oba zmieńcie się, albo przynajmniej niech ma jeden rozum! Pamiętajcie sobie dobrze, że Pan Jezus cierpi długo, ale na końcu przyjdzie kara od Niego. Na to odezwie się Szymon:

— Mój jegomość, — i cóż ja takiego złego robię? toż ja ani pijak, ani cygan jaki! Czy ja to komu robię jakie krzywdy?

Na to ksiądz rzecze:

— A czy to nie grzech wielki po nocach wywoływać od chałupy jeden na drugiego takie rzeczy, że aż wstyd mówić? — Czy to nie grzech znieważać niedzielę i święta, i zaraz po nabożeństwie rezpoczynać kłótnie, gdzie ludzie słuchają wszystko i jeno się gorszą? Czy to nie grzech ta obraza Boża? A dzieci wasze czego się uczą przez to?

I zamilkli oba gospodarze na tę mowę i jakoś sobie trochę wzięli do głowy i znowu się przy księdzu pogodzili, a skłoniwszy się pięknie i pochwaliwszy Pana Jezusa, poszli do domu. Ale gdzie tam, cięty Szymon mógł dzień przeżyć bez kłótni? gdzie tam, znowu Wojciech mógł cierpliwie słuchać gadania i wyzywania Szymonowego? Otóż kłócili się jak dawniej, i to zawsze o jakąś szkodę! Ale dobrze im ksiądz mówił, że P. Jezus cierpi długo, ale i On ma swój czas do kary naznaczony.

Otóż rozchorował się na piękne najpierwej Wojciech. Leżał długo, to kaszlał, to stękał, to siedział, to łaził koło domu, ale roboty żadnej mu ruszyć nie było; to też wtedy już nie wychodził na dwór i nie odżerał się Szymonowi. Ale na wiosnę chciał koniecznie wyjść na zapłoć i tam zobaczyć swój grunt i zasiewy, wziął sobie laskę grubą, obuł się w buty jak na mróz dobry i wyszedł na zapłocie, ale tam zesłabł i przewrócił się koło drogi i tak nieboraczysko leżał.

Aż tu jedzie tą drogą Szymon, on sobie siedział na wozie, a syn jego poganiał konie. I przyjechali w to miejsce, gdzie biedny Wojciech leżał skulony i prawie konający.

A Szymon pyta syna: — Kto to taki leży? Co to za człowiek, czy wsiowy?

Na to syn mówi: — To nie poznajecie Wojciecha, naszego chrzestnego ojca?

I stanął z wozem syn Szymona, i chciał skoczyć z wozu i pójść podźwignąć swego chrzestnego ojca, ale Szymon krzyknie: — Siedź ty głupi chłopcze, ja sam pójdę do niego.

I przyszedł do Wojciecha kuma, popatrzał mu w oczy, a wtedy obudził się w jego sercu piekielny śmiech i szatańska radość, i zaczął sobie gadać że śmiechem. — A widzisz bratku! a co moja szkoda będzie jeszcze? A czemu się teraz nie kłócisz? no, gadaj kumeczku mój! A syn Szymona siedział zapłakany na wozie, boć mu żal było Wojciecha i tak się odezwał:

— Chyba ja tatusiu podjadę tam i włożymy chorego chrzestnego ojca na wóz; wy go potrzymacie, aby się nie talał po wozie, ja przywiozę wody ze studni, może się jeszcze ocuci, a potem pojedziemy pomaleńku i zawieziemy go do domu. Ale trza mu kożuch porozpinać, bo go gniecie—i ruszył wozem, a wtedy Szymon gada: — Ani się tykaj ty niegodziwy! Niech sobie tu kończy, bo on mi zalał nieraz gorącego sadła za skórę. Potem śmiejąc się wsiadł na wóz i kazał jechać. Umarł Wojciech na zapłociu, na tem polu, pod temi wierzbami, gdzie się nieraz kłótnie rozpoczynały z Szymonem o szkodę! Ale nie darował też Pan Jezus i zajadłemu

Szymkowi owych kłótni częstych i owej złości, że konającemu Wojciechowi nie przebaczył, ale się jeszcze cieszył z jego konania, a co gorsza, że na konającego Wojciecha wygadywał ze złością. On myślał że go nikt nie widział; syn jego nie widział tego, bo sobie zatkał oczy od płaczu kapeluszem, a łzy mu lały się po brodzie aż na kołnierz od koszuli; nie widział tego nikt inny, ale widział tę sromotę Pan Bóg z nieba, co jest nad głową każdego człowieka, a ztamtąd patrzy na naszą ziemię, jakby przez czyste okienko i widzi co każdy człowiek robi i gdzie się każdy robaczek obraca i gdzie

— A widzisz bratku! a co moja szkoda będzie jeszcze?

najdrobniejsza trawka rośnie i gdzie się podziewa, kaj ginie; a widzi nawet przez wierzch naszej głowy co człowiek myśli, i widzi przez pierś naszą na wylot, co człowiek ma na sercu, czy dobroć czy gniew, czy grzech jaki utajony, czy uczynek dobry. I słyszy to

Pan Bóg wszystko: to też słyszał On wszystkie złe słowa, które Wojciech i Szymon do siebie po dobremu i po złemu gadali, i widział wszystko co oni kiedy robili, czy naumyślnie czy nie naumyślnie.

Otóż jedzie sobie Szymon dosyć wesoło, a nie wiedział w tej chwili, że oprócz jego syna na wozie płakali i anieli w niebie, że też to ludzie chrześcjanie, co mają tak święte kościoły i takie nauki, a mogą robić tak jak właśnie zrobił konającemu Wojciechowi! Ale on nie wiedział, że Pan Jezus w niebie nagotował już karę na niego. I pojechał sobie na targ, poprzedał i pokupił, co było do domu potrzeba, i miał już wsiadać na wóz, a syn jego pyta:

— Kupiliście soli do domu? — Aha!—odpowie Szymon — prawda, żem zapomniał jeszcze kupić tej soli, i poszedł w miasto i przechodził przez gospodę w mieście, i na prostej drodze upadł jak długi. Leżał też na środku sieni w gospodzie, leżał na śmieciu w karczmie, stękał i jęczał ale tu nikt ani go zapytał:— Co wam to się stało?— owszem nie jeden go kopnął i mówił sobie: Ot jakiś pijak, opił się śmierdzącego gorzałczyska, jak bydle pomyi i teraz tu leży i stęka. Aż ktoś miał wjeżdżać do sieni, i zaciągnął go pod żłób i zostawił w śmieciach leżącego. A syn Szymona stoi i czeka i wyziera ojca, a ojca nie widać; już wieczór, a ojca jeszcze nie widać. Zostawił wóz i poszedł ojca szukać po mieście, ale gdzie go znaleźć? Kto wie gdzie on jest? Kto tam widział, ze go zaciągnięto pod żłób, takiego gospodarza!

I chodził biedny syn noc całą i płakał i szukał i był pytać się w tej samej gospodzie o ojca, a on nieszczęśliwy nie wiedział, że ojciec kona pod żłobem na śmieciu, że go niejeden kopnął i napluł na niego. Aż rano na drugi dzień znalazł ojca na wpół umarłego, wziął go na wóz, rozesłał dużo siana, zdjął swój kożuch z siebie, podesłał go ojcu, porozpinał mu chusty na szyi, aby mógł lekko dychać, przyniósł wody zimnej, obmył twarz i głowę ojcu, potem poszedł po doktora, nakupił różnych leków i jak już doktór kazał mu jechać do domu, wtedy usiadł sobie tak, aby głowę

ojca położyć na swe kolona i trzymać ją, by mu się nie ruszała mocno, nakrył ojca, by mu proch nie leciał na twarz i by go słonko nie piekło, a jechał już noga za nogą tylko, a płakał tak, że już świata bożego nie widział, ani nie wiedział, że już do wsi swej przyjechał.

I musiał jechać tą samą drogą do domu, kędy wczoraj z ojcem zdrowym przejeżdżał; a ledwo przyjechał do tej wierzby, gdzie to Wojciech jego chrzestny ojciec lażał konający, i gdzie go nie podratowali, wtedy Szymon podniósł głowę i raptem zawołał:

— Stój synu! — i popatrzył się groźno w to miejsce, gdzie leżał konający Wojciech i mówił: — I ja tu muszę skonać za karę na tem samem miejscu, gdziem się tyle kłócił, tyle Boga obrażał, i tego konającego znieważył i śmiał się z niego. Tak mi coś powiedziało do ucha, gdym tu nadjeżdżał, i to wymówiwszy, padłszy do wozu na siano, umarł!..-

Syn przywiózł trupa do domu. W domu Wojciecha zawodziła straszne płacze żona z dziećmi, teraz rozpoczęła znowu Szymonowa to samo. Wnet przybiegł pan, ksiądz i ludzie, a gadali wszyscy:

— Ot widzisz! czy to nie kara Boża widoczna? Jak żyli, tak umarli, gdzie się kłócili, tam ich śmierć z dopuszczenia Bożego zapadła.

Ale potruchleli wszyscy na takie zdarzenie!

Drugiego dnia szły z kościoła dwie trumny na cmentarz, szły cicho i pomaleńku, jakby nic nie zaszło; prowadził je ksiądz zasmucony, bo się sprawdziło to, co on gadał nieraz tym dwom kłótnikom za życia. Szedł i pan ze dwora i ludzi dużo, a wszystko smutne, bo ukarał Pan Bóg dwuch pierwszych we wsi gospodarzy tak strasznie! Zadzwonili dzwony, dwie trumny spadły do ciemnego grobu!

Dwaj kłótnicy za życia, leżeli cicho na wieki na świętym cmentarzu, nawet się nie przeprosili umierając, tylko jeden Wojciech umarł po św. spowiedzi, a Pan Jezus osądził Szymona duszę za owe złe serce, które on konającemu Wojciechowi okazał. Ale niech im obóm

odpuścić raczy Pan Jezus ich grzechy, a wy ludzie życie w świętej zgodzie między sobą; żyjcie w miłości z kościołem Bożym i dworem, aby i was nie pokarał podobnie Sędzia sprawiedliwy.

Sposób na biedę.

W nieurodzajnej ziemi opoczyńskiej leży wśród piasków i błota niewielka uboga wioska Grabki.

Nie wesoło robi się podróżnikowi, który tędy przechodzi, bo chaty tutejsze są brudne i obdarte, podwórka przy nich zanieczyszczone śmieciem, drobnemi kamieniami, gnojem i kałużami; przez całe niemal lato niewysychającemi, w których albo trzepocze się kilkoro ptactwa domowego, albo też przewala nierogacizna; ogrody przy takich chatach są prawie zupełnie zapuszczone i tylko gdzieniegdzie wystaje z pomiędzy chwastów mała główka kapusty, albo cokolwiek dalej jaka mizerna wiśnia, krzywa, nadłamana, której połowa gałęzi zeschła i już mchem porosła. Zabudowania jeszcze nędzniej wyglądają, bo i zewnątrz patrząc pełno dziur w słomianych dachach i we środku mało co zobaczyć można bydla albo zapasów.

I sami ludzie wcale niepokaźni, bo to po większej części wynędzniałe, obdarte i ponure, a patrzy tak z podełba, jakby chciało sprzedać rodzonego brata. W takiej to wsi jednego dnia siedział na ławce przed swoją chatą Michał Powała zamyślony i z założonemi rękami.

Człowiek to był jeszcze nie stary, ale jakiś schorowany i smutny.

Słońce miało już się dobrze ku zachodowi, a Powała nie ruszał się z miejsca, a tylko zapatrzywszy się gdzieś daleko na idącą przez wieś drogę, wzdychał ciężko niekiedy.

Wtem na drodze tej od Sulejowa pokazał się jakiś podeszły już w lata człowiek, ale jeszcze krzepki, ubrany w porządną sukmanę, podpasany pasem i z podróżną kobiałką przez plecy, w ręku zaś miał mocny sękaty kij. Był to znany na kilka mil wokoło Grzegorz Wyszek, dawniej gospodarz rolny, a jeszcze dawniej wojskowy. Gdy mu umarła żona przed kilku laty, zostały się Grzegorzowi dwie dorosłe już córki, które wyszły za mąż jeszcze za życia matki, jedna za Sulejowskiego mieszkańca, który miał się wcale nieźle, dowożąc pięcią własnemi furmankami wapno do kolei w Piotrkowie; druga w jednej wsi pod Opocznem, za gospodarza, który niedawno nabył na własność spory kawał ziemi i założył na nim kolonje. Stary Grzegorz podzielił swój majątek na dwie córki i przesiadywał kolejno u dzieci, a przybycie jego było zawsze pożądane, bo starszym przyniósł zawsze zdrowe rady, a wnuczętom swoim robił ładne zabawki, opowiadał ciekawe bardzo historje i pokazywał czytanie na elementarzu. Grzegorz szedł prosto ku domowi Powały, ale ten nie widział go pewnie, bo nawet nie ruszył się by powitać dawnego znajomego, aż dopóki ten go sam nie zaczepił chrześcjańskiem pozdrowieniem. Wtenczas dopiero Michał jakby się ze snu obudził i odpowiedział:

— Na wieki wieków! A dokądże to Bóg prowadzi?

— A tak jak to zwyczajnie — od jednego zięcia do drugiego; idę popatrzeć co też to tam dzieje się z dziećmi i wnuczętami koło Opoczna, i zaszedłem do was prosić byście mnie przenocowali.

— A dlaczegóżby nie! — siadajcie tymczasem, — powiedział Michał, — a ja pójdę do chałupy i poszukam czy tam nie znajdę dla was jakiego posiłku boście to kawał drogi przejść musieli. Tylko niebardzo ostrzcie zęby, bo u nas tu, jak widzicie bieda.

— Oj! widzę ja to, — rzekł Grzegorz, i samiście jakoś nie swoi i koło waszego gospodarstwa nie bardzo pokaźno. Ale o przekąskę dla mnie nie kłopoczcie się. Mam ja czem robaka umoczyć i was samych chcę poczęstować. To mówiąc, wydobył z kobiałki bochenek

chleba, kawał spieczonego prosiaka, z jaki łokieć kiełbasy i spory odłamek placka z serem, bo było to jakoś po świętach wielkanocnych.

Pożywajmy w Imię Boże, mój Michale, -- mówił dalej, — i powiedzcie mi co też to się z wami dzieje, że tak coraz smutniejsi jesteście.

— Czegóż to mam weselić się — odpowiedział Michał, — kiedy mi wszystko idzie jak z kamienia. Bieda przyplątała się do mnie! Pole nie rodzi, bydło marnieje, dzieci niedopomagają, chałupa wali się, jak widzicie, ogród nierogacizna niszczy i sam człowiek jakoś opada na ciele.

Co dalej będzie to aż straszno pomyśleć! Przyjdzie chyba pójść z torbami...

— A bójcież się wy Boga! Nie trzeba tak upadać na duchu. Bieda, mówicie, przyplątała się do was, a toć trzeba na nią znaleźć jakie lekarstwo.

— E! wszystkiego już próbowałem, ale nic nie pomaga.

— Czegóżeście też próbowali? — zapytał Grzegorz.

— Różnych sposobów,—odpowiedział Michał—i ludzi różnych radziłem się i sam na rozum brałem, ale to wszystko nadaremno było.

— Jakich że to ludzi radziliście się?

— Juści swoich tutaj sąsiadów.

— Cóż oni wam powiedzieli?

— Powiedzieli że i u nich nie lepiej jak i u mnie; że gdyby wiedzieli jaki sposób na biedę, toby go sami dla siebie użyli; ale widać że nie ma takieggo sposobu, bo bieda ciągle dokucza.

Ot! co tam długo mówić, radziłem się nawet bab naszych, a i to na nic się nie zdało.

— No! to się wie! — Człowiek jak swego rozumu nie ma, to na babskim daleko nie zajedzie.

Ale bo widzicie Grzegorzu, ja się radziłem i takich bab, co to o nich mówią, że znają różne sekreta, i choroby zamawiają, i uroki zdejmują i różne tam czary robią.

— Cóż one poradziły?

Ot! najrozumniejsza z nich stara Wojciechowa kowalicha, ta pijaczka, co ją znacie, doradziła mi że jak się wodzi pierwsze ciele, żebym je karmił samym mlekiem przez sześć tygodni, a potem wyprowadził do miasteczka na sprzedaż i wziął za nie to, co mi będzie dawał pierwszy kupiec bez żadnego targu. Potem za te pieniądze miałem kupić garniec wódki, którą mi sama przyprawi rozmaitemi ziołami i wypić wszystko przed południem, nie oglądając się i splunąwszy na cztery strony. Zrobiłem jak mówiła.

— Na wieki wieków! A dokądże to Bóg prowadzi?

Tylko com wyszedł z cielęciem na targ, spotkał mię szynkarz, co to siedzi tam w karczmie nad drogą i od razu dawał za ciele dziesięć złotych; żal mi się zrobiło, co prawda sprzedawać ładną jałoszkę za takie pieniądze, ale cóż miałem robić? kupiłem wódki i odda-

łem Wojciechowej by przyprawiła temi ziołami. Po siedmiu dniach przyniosła mi jej baba z półkwartek, mówiąc, że się reszta wygotowała. Wypiłem jak kazała i zapłaciłem znowu, bo Wojciechowa mówiła że inaczej nie pomoże, tylko zaraz trzeba zapłacić i to srebrem; dałem jej więc ostatnią dwuzłotówkę.

— I pewno wszystko nic nie pomogło.

— Zgadliście. Tylko jałoszkę zmarnowałem i pieniądze za nią przepadły. Widać, że ta przeklęta baba nie odczepi się odemnie.

— A innego jakiego sposobu nie próbowaliście?

— Chodziłem potem prosić o radę wikarego. Ten kazał wyspowiadać się, zakupić nabożeństwo i leżeć krzyżem przez całą wotywę. Leżałem też.

— I cóż?

— Bieda jak dusi, tak dusi. Ani ludzie jej nie odegnali, ani widać nabożeństwo Bóg nie przyjął — nie ma rady.

— No tego jeszcze nie można powiedzieć. Wprawdzie bieda jak się uczepi, to ją nieraz można odegnać, ale dopóki człowiek nie straci sił i rozumu, dopóty powinien ufać w Boskie zmiłowanie i wierzyć, że na wszelkie nieszczęście sposób się znajdzie.

— Już ja nie widzę żadnego.

I to jeszcze nic nie znaczy, że sami nie widzicie, może go kto inny wam pokaże.

— A to pokażcie kiedy łaska i kiedy macie na biedę sposób.

— Mam i niezawodny. Sam go na sobie sprawdziłem.

— Juści, że to chyba prawda; bo jak was znam, to niepamiętam żebyście kiedy biedy doświadczali.

— Tego nie mówcie! I mnie nieraz było ciężko na świecie, ałem sobie zawsze poradził przy pomocy Boskiej.

— A toć na rany Boskie powiedzcie mi, jaki to sposób?—do śmierci będę wam za to wzdzięczny.

— Ho! ho! mój Michale! myślicie, że taki łatwy, jak ten co wam doradziła Wojciechowa. Kieliszkiem wódki nie odpędzisz biedy, choćbyś Bóg wie czem przy-

prawiał. Mój sposób jest niezawodny, co prawda, ale bardzo trudny.

— Niechby był już niewiem jaki, byle raz wybrnąć z tej niedoli.

— Bieda mój Michale, — powiedział tedy Grzegorz, — to zupełnie tak, jak choroba, tylko, że choroba siedzi we środku człowieka, a bieda uwija się koło niego.

— Oj, gdybym ją złapał, — zawołał Michał, — też bym to jej boki kłonicą wyłatał.

— Kłonica tu nie pomoże. Bieda, powiadam wam, to jak niemoc jaka; zwolna tylko ustępuje; trzeba próbować różnych leków i bardzo długo przychodzi się do zdrowia.

— Macież wy takie lekarstwo?

— Mam!

— Miły Grzegorzu, powiedzcie mi, jakie?

— Powiedzieć nie sztuka, ale sztuka wykórować.

— Jak-to?

— Nie ten lekarz mądry, który zapisuje lekarstwo, ale ten co zdrowie powraca.

— Prawda.

— Bieda musi tu gdzieś się ukrywać w waszem gospodarstwie, i cała sztuka zatem, żeby ją znaleźć. Żeście się udali do księdza wikarego po radę, to się wam chwali, ale podrwiliście głową myśląc, że jak zakupicie wotywę, to wam biedę jak ręką odejmie. Chcielibyście tak lekko, bez wielkiego zachodu, żeby Pan Bóg na was cud pokazał. Na co ma Stwórca szafować cudami, kiedyście ich niegodni i kiedy na to są inne proste sposoby.

— Ależ jakie? bo to bez urazy waszej, mój Grzegorzu, gadacie bardzo składnie, ale do końca nie zachodzicie... to rzecz prosta; bieda mnie gnębi, jeżeli wiecie na nią sposób — to odrazu mówcie.

— I wiem i powiem, ale pod jednym warunkiem.

— Pod jakim?

— Że będziecie mnie słuchać i robić tak wszystko, jak ja wam powiem, przez rok i sześć tygodni.

— A potem bieda przepadnie?

— Z pewnością!

— Tu Powała zamyślił się, poskrobał w głowę i po chwili powiedział:

— Czy nie można by mój Grzegorzu, żeby to prędzej było, jak za rok i sześć tygodni.

— Żadną miarą nie można. Bieda dawno już zagnieździła się u was, i trzeba długo chodzić koło tego by ją wykurzyć.

— Ha! niech już będzie rok i sześć tygodni. Gadajcie teraz co mam robić.

— Widzicie mój Michale, ja długo się włóczyłem po świecie i wiem, że bieda u panów siedzi w kieszeni, u głupców w samym środku mózgu i ta już jest nieuleczalna, a u nas wieśniaków, najczęściej gnieździ się w chwastach i kamieniach na polu. Trzeba ją wprzód stamtąd wyrugować.

— Jakże to zrobić?

— Trzeba dobrze raz koło razu ziemię wyorać, a potem zabronować, to się bieda albo lemieszkiem rozkroi i pójdzie w głębię ziemi, albo też zębem od brony wywlecze na drogę.

— I już nie wróci?

— Jeszcze mogła by wrócić ale na to także jest lekarstwo. Uprawione pole trzeba starannie zasiać, — bieda okrutnie się obawia czystego ziarna, bo to chleb Boży. Zróbcie więc tak, jak mówię. Ja tu będę powracał za jakie parę tygodni, to wam powiem, jak sobie dalej macie począć. Teraz już późna pora i trzeba wypocząć.

Wkrótce Grzegórz chrapał w najlepsze, a Michał myślał sobie.

— Może to i dobry sposób odpędzenia biedy. Ha! trzeba spróbować.

Nazajutrz równo ze dniem Grzegórz poszedł w drogę na Opoczno, a Michał wybrał się w pole wyorywać biedę. We dwa tygodnie stary Grzegórz zaszedł znowu na noc do Powały.

— A cóż, nie znaleźliście biedy na polu?—zapytał Michała, rozgościwszy się.

— Nie znalazłem, ale wszystko uczyniłem, jak kazaliście.

— Widać, że jej tam nie ma. Trzeba szukać w innem miejscu. Mówię wam, że to jak w chorobie, kiedy nie pomogą bańki to trzeba zażyć lekarstwo do środka. Biedy w polu nie macie pewno, więc siedzi ona tu bliżej, albo może gdzie wałęsa się koło budynków, szukając kąta dla siebie. Trzeba, żebyście dobrze załatali dziury w strzesze nad stodołą i oborą, pozabijali dziury w ścianach i szczelnie drzwi dopasowali. Bo sami wiecie, że jak bieda w stodole albo oborze obierze sobie siedlisko, to i do chaty z czasem zawita.

— Oj wiem to dobrze.

— A kobieta wasza niech zrobi w ogrodzie to, coście wy zrobili na polu; wy jej tylko ponaprawiajcie ogrodzenie, żeby nierogacizna nie właziła; bo to widzicie bieda wjedzie nieraz na świskim ryju pomiędzy ogórki i inne warzywa.

I teraz usłuchał Michał Grzegorza. Po niejakiem czasie ten znowu idąc z Sulejowa zaszedł do Michała.

— A cóż Michale — przemówił, — nie znalazła wasza kobieta biedy gdzie w pokrzywie?

— Nie znalazła, — odrzekł Michał.

— A na pole nie zaglądacie? czy tam nie wróciła czasem.

— Nie doczeka tego! — powiedział wesoło Michał. Nie usiedzi tam ona. Mówiliście, że bieda boi się świętego chleba, a u mnie tak gęste żyto, że choć grzebieniem czesać. Ziemniaki także jak las. Trzeba je koniecznie obsypać w porę, bo ta niegodziwa jędza często osiada na nich śniedzią albo zgnilizną. — Czy tak mówicie? To trzeba będzie zaraz wziąć się do tego.

— Nie odkładajcie i zabierzcie się jutro do roboty. No, a w chacie u was co słychać?

— W chacie źle. Dzieci mi coś niedomagają.

— To może bieda tam gdzie zalazła?

— Mój miły Grzegorzu! zmiłujcie się i znajdźcie jeszcze sposób by ją z chaty wyrzucić.

— To nie wielka sztuka. Tylko zróbcie, jak wam powiem. Co ranku, jak tylko dzieci wasze powstają,

niech im matka każe czysto pomyć się, poczesać głowy i zmówić pacierz, a surowo przykaże, żeby nie łaziły nago i boso po kałużach, żeby nie rozwalały się w piasku na ulicy, ale niech się bawią na trawie, a tymczasem niech sama co najpilniej wymiecie wszystkie kąty, bo to bieda często i w smieciu zagrzebuje się. Wy sami jak będziecie w miasteczku, kupcie cokolwiek większe okna i powstawiajcie, zamiast tych lichych szyb potłuczonych, a we środku wybielcie izbę. Bieda boi się światła i świeżego powietrza. Gdy ją wasza kobieta wymiecie razem ze śmieciem to będzie dobijać się przez okna, ale jak zobaczy, że w izbie czysto, to nie usiedzi. Na takich radach i zabiegach ubiegł rok z górą Michałowi i Grzegorzowi.

Już jakoś w końcu miesiąca maja następnego roku siedzieli na podwórku przed czysto wybieloną chatą na ławce oboje Powałowie i Grzegorz za stołem nakrytym czystym obrusem, na stole stał spory dzbanek miodu i para białych kołaczy. Widać, że się już pokrzepili jadłem, bo tylko zwolna i potrochu popijali miodek i przygryzali kołaczem, a rozmowa ich była taka:

— To jak mówicie Michale, — prawił Grzegorz, — chciało by się wam zakupić te wasze czynszowe grunta na własność?

— A chciałbym, i właśnie uradziliśmy z moją żoną was o tem dobrze rozpytać się. Już nikt lepiej od was nie poradzi. Powiedzcie więc nam, jak tu sobie począć?

— Co, jak począć? a pieniądze macie?

— Znalazły by się.

— Więc czego jeszcze czekać? Kupić i koniec. Co wam po tych czynszach? Na co płacić po groszu trzydzieści razy, kiedy można dać złoty, i będzie kwita!

— Ależ bo, — dorzuciła Powałowa — jak wydamy wszystko grosiwo, a bieda przyjdzie...

— Aha! stara bieda! a gdzie ona teraz?

— A niewiem, coś nie pokazuje się — powiedział Michał.

— Chodźmy no, — rzecze na to Grzegórz, — przepatrzymy dobrze wszystkie zakątki, czy się jeszcze gdzie nie zataiła.

Poszli tedy do chaty. W izbie było czysto wymiecione, na wybielonych ścianach jaśniały obrazy świętych i królów; w stodole znajdował się jeszcze niezły zapas wszystkiego, chociaż to było na przednówku; w ogrodzie pięknie zieleniały grzędy; na łączce za ogrodem pasło się wesoło bydełko. Zajrzeli do komory, tam także wisiało parę połci słoniny, motki lnu, szereg mis z mlekiem stało na ławce; obok leżały sery i masło. Na podwórzu przechadzały się kury, gęsi i indyki; w jednym kącie stał porządny i okuty wóz, a w stajni niewielka kobyłka z wesołym źrebakiem.

Grzegórz z Powałami wszystko pilnie obejrzał. Biedy nigdzie nie było.

Poszły więc znowu obadwa, zasiedli za stołem i Michał nalewając Grzegorzowi nową szklankę miodu, powiedział: — Mądrzeście mi poradzili mój Grzegorzu z moją dawniejszą biedą—i jak widzicie niema jej teraz u mnie. Ale czy wiecie wy gdzie się ona odemnie przeniosła?

— Nie wiem, ale chciał bym wiedzieć.

— Otóż powiem wam; siedzi ona teraz w karczmie u tego szynkarza, co to, jak pamiętacie kupił u mnie jałówkę za dziesięć złotych.

— Czyście ją tam widzieli?

— Nie, bo do karczmy nie chodzę, ale był tu u mnie ten sam szynkarz i to mi mówił.

Historya o Kaśce i o leniwej torbie.

Była jedna wdowa, a ta miała córkę jedynaczkę, którą bardzo kochała. Ale bo też to była przecudnie ładna dziewczyna, jeno, że była leniwa do roboty. Ale temu nie ona była winna, jeno matka, bo

ją od młodości pieściła i nie dała jej nigdy nic robić, ani się tykać niczego. Córka też nic nie robiła, jeno siedziała w kominie, piekła sobie ziemniaki i grzebała w popiele. Tak przeszło lat 17. W tym wieku wszystkie dziewczęta we wsi, swojaczki i nie swojaczki, miały, jak każda, swego kochanka, ale do Kaśki, bo tak było na imię owej ładnej córce, nikt jeszcze nie zajrzał, ani nawet żaden biedny parobek; a to dlatego, bo wszyscy wiedzieli już, jaki z Kaśki leniuch, i każdy mówił: „Ady to z tego nic dobrego nie będzie, wszakże będziecie widzieli na żywe oczy“. To słyszała nieraz i matka, a więc okrutnie ją to kłopotało.

Matka zaczęła tedy naganiać córkę do roboty, ale cóż? ta nie wiedziała nawet jak co wziąść do ręki, bo nie była przyzwyczajona do roboty, a więc też i nie dziw, że jej się wszystko srodze ciężkiem wydawało. Wnet jej się wszystko sprzykrzyło i przestała robić, a nanowo w kominie zasiadła.

I tak uszedł znowu rok jeden, a kawalera jak nie było, tak niemasz; jak nie widać, tak nie widać.

W drugiej wsi jeszcze ludzie o tem nie wiedzieli, że Kaśka jest do niczego; ale widzieli przecież jaka jest ładna, bo też czasem poszła do kościoła. W tej tam jednej wsi był parobek, któremu na imię było Kuba. Ten więc, kiedy zobaczył Kaśkę, zaraz mu się okrutnie spodobała i niezadługo potem przyszedł i prosił o nią jej matki. Matka bardzo się uradowała i zaraz obiecała dać mu córkę, ale mu mówiła, żeby przynajmniej jeden roczek poczekał, bo jej córka jeszcze bardzo młoda i nie wiedziałaby jeszcze jak sobie począć we własnym domu. Obiecała mu też dać z córką jedno gospodarstwo, bo miała aż dwa. Tymczasem zaś myślała nauczyć córkę jakiej roboty, a może też i myślała, że przyjdzie po Kaśkę jaki kmieć; bo co prawda to i nie grzech, byłaby wolała kmiecia, niż parobka. Ale rok prędko przeminął, a Kaśka ani niczego się nie nauczyła, ani też nie przyszedł nikt po nią, jeno Kuba, który zaraz przyprowadził ze sobą dwóch swatów, i przyniósł też wódki, aby zrobić zmówiny.

Kiedy więc weszli do chałupy i pochwalili Pana Boga, zaraz zaczęli swatowie prosić matki o córkę dla Kuby, a Kuba też zaraz matce do nóg upadł. Na co matka: „Jeżelić taka wola Boża, niechże się stanie i niechże im Bóg błogosławi!“ Znowu się skłonił Kuba matce do nóg, a ona wzięła go na stronę i mówiła do niego: „Dam ci córkę moją za żonę i jedno gospodarstwo, ale mi musisz przyrzec wprzód, że jej pozwolisz, iż będzie mogła robić, co tylko sama będzie chciała, bo widzisz, że to jeszcze dziewczę młode, to nie będzie wiedziało, jak co wziąć w rękę“. — Kuba przyrzekł matce, czego po nim wymagała, a potem dobył wódki i pił za jej zdrowie, a ona piła za zdrowie swej córki do swatów, a swatowie do Kaśki za zdrowie Kuby. Kaśka siedziała koło komina i zawstydziła się na to, ale w duszy rada była, bo Kuba raźny był chłopak, i spodobał jej się także odrazu.

Po zmówinach zaraz też dali na zapowiedzi, a po zapowiedziach było zaraz wesele. Kuba kupił sądek wódki i beczkę piwa, a matka zabiła kilkanaście gęsi, parę baranów, tucznego wieprza i wołu karmnego. I nie napróżno też mówili dróżbowie, spraszając gości na wesele.

I zabili też tam wieprza nie małego,
W korycie oparzonego;
I będą też tam skrzypki i bas,
A kto się naje i napije, pójdzie do dom wczas!

Ale bo też matka Kaśki miała się dobrze i była zawołana gospodyni. Po weselu były zaraz i przenosiny na gospodarstwo, które matka dała Kubie, a które się znajdowało na drugim końcu wsi onej. Do tego gospodarstwa dała także matka zięciowi wszystek inwentarz, wszystkie porządki i co jeno było potrzebne w gospodarstwie; a Kaśce wypakowała komorę wszelkiemi leguminami, aby jej na niczem nie zbywało.

Miała więc Kaśka pełną śpiżarnię mąki, kaszy, jagieł, grochu, suchego owocu i t. d., miała poddostatkiem okrasy, masła, sera, jaj, soli i t. p., i mogła sobie żyć

jak pączek w maśle, byle się była umiała tem rządzić. Ale Kaśka nic nie umiała, nawet nie umiała sobie jeść ugotować.

Na drugi dzień tedy po przenosinach wstał Kuba rano i poszedł do swojej roboty na podwórze, a nie wrócił się prędzej do chałupy, aż myślał, że przecie ma Kaśka gotowe śniadanie. Ale kiedy był przyszedł, patrzy, a tu w kominie jeszcze ciemno, a Kaśka jeszcze w łóżku, nic nie mówi, jeno robi sam ogień, zastawia garnki i gotuje śniadanie, bo myślał sobie, że to pierwszy dzień po weselu, to się Kaśka nie wyspała. Kiedy już wszystko było gotowe, budzi Kaśkę i jedzą śniadanie. Po śniadaniu odchodzi Kuba do swej roboty, zaprzęga woły do pługa i wyjeżdża w pole, a Kaśka, zaledwie Kuba przełożył nogi za próg, hyc w komin!

Nadchodzi południe, a Kaśka ani myśli o obiedzie; ale bo też tego w domu nigdy nie robiła. Kuba przyjeżdża z pola, a tu Kaśka w kominie, a w kominie ciemno, statki od śniadania nie umyte, izba nie zamieciona i łóżko jeszcze nie posłane. Znowu nic nie mówi, jeno robi ogień, ściele łóżko, zamiata izbę, myje statki i gotuje obiad. A gdy już ugotował, zawołał parobka, zjedli i Kuba znowu poszedł do swojej roboty z tą myślą, że to tylko pierwszy dzień tak będzie.

Przychodzi na wieczór, a tu znowu wszystko tak zastaje jak przed obiadem, i znowu nic nie mówi, jeno znowu wszystko sam robi. Po wieczerzy poszli spać.

Tak przeszedł pierwszy dzień, Kuba myślał, że to przecie na drugi dzień wszystko inaczej pójdzie. A do kata! jak minął dzień pierwszy, tak też przeszedł zupełnie dzień drugi, trzeci, czwarty, piąty i szusty; Kaśka jak nic nie robiła, tak nic nie robi, jeno tylko Kuba sam. Nie widzi też Kuba, żeby się choć trochę do czego poczuwała, bo przecie przyrzekł matce, że jej na wszystko pozwoli i że będzie mogła robić, jak jeno sama będzie chciała. Dopiero tu Kuba w kłopot! Nie wiedział jak tu co robić i jak co począć, robił więc, jak mógł, sam wszystko w domu i polu. Ale nareszcie już mu się też i odechciało wszystkiego i stracił zupełnie głowę.

Kiedy więc jednego dnia popołudniu wyjechał w pole, zupełnie mu się już robota nie chciała szykować.

Wyprzągł woły i puścił je samopas na łąkę, a sam zaś zaczął chodzić naokoło, jak głupi. I chodzi i chodzi, i myśli i myśli, aż nareszcie stawa w jednem miejscu i mówi sam do siebie: „Przecież niepodobna aby człowiek miał ogłupieć, trzeba się koniecznie jako z nią spróbować“.

Tymczasem i słonko miało się już ku zachodowi; zawrócił więc woły i pędzi je do domu. Przychodzi do chałupy, ale tu jak było dawniej tak i teraz, to jest: Kaśka w kominie, a wszystko porozrucane i nie posprzątane, nie mówi nic, jeno tak jak zawsze tak i dziś robi ogień i gotuje wieczerzę, a jak się najedli, zabierają się do spania, i ledwie się Kuba obejrzał, już Kaśka jednym susem była w łóżku.

Ale Kuba nim się położył, bierze swoją skórzaną torbę, która zawsze wisiała koło okna, a potem tęgi pręt laskowy w rękę i tak odzywa się do torby: „Moja torbo! to tak być nie może! Ja robię jak wół, a ty wisisz i wisisz; ja gotuję jeść, a ty na to patrzysz. A wszakże ja cię mam, abyś ty przynajmniej w domu co zrobiła, abyś mi nagotowała jeść i zrobiła porządek w chałupie! A ty nic a nic nie robisz!. To tak przecie być nie może; co nie, to nie! Widzisz oto ten kij? Jak mi od dziś dnia nie ugotujesz regularnie śniadania, obiadu i wieczerzy, jak mi nie pościelesz łóżka i nie pomyjesz czysto statków, jak mi nie zamieciesz porządnie izby, komory i sieni, to ten kij oto, będzie cię miał w robocie, tak jak jestem Kuba“. Potem powiesił torbę na swoje miejsce i położył się spać. A Kaśka śmiała się w duchu i myślała sobie: jaki też to głupi ten Kuba; albo to torba będzie mogła co robić? przecież ona nie żywa, — ale nie mówiła jednak nic do Kuby, jeno była ciekawa końca.

Na drugi dzień potem znowu Kuba wstaje i robi wszystko jak dotąd i to przez cały Boży dzień; bo Kaśka wcale nie domyślała się, żeby to do niej stoso-

wał, jeno myślała, a widzisz ty głupi, wszak ci się na nic nie przydało, cożeś mówił do swojej torby.

Ale Kuba inaczej myślał, i kiedy już było po wieczerzy, poszedł znowu spać jak zwyczajnie. Dopiero kiedy już było po północy, wstaje, robi ogień i mówi do Kaśki, którą obudził:

— Kasiu wszakżeś samasły szała, com wczoraj rano mówił do torby i widziałaś też sama, że z tego wszystkiego nic nie zrobiła, com jej był powiedział.

A Kaśka na to:

— A no! prawdać!

— A nu więc,—mówi Kuba dalej;—toć jej trzeba dać pamiętne, bo Kuba zartować nie lubi. Wstań jeno Kasiu, wstań! a pomożesz mi też koło tej niegodziwej torby.

Kaśka więcej ciekawa, co to z tego będzie, aniżeli posłuszna, wyskakując czemprędzej i nawet się nie obłóczy jeno wstaje w koszuli. A Kuba bierze kij w jedną, a torbę w drugą rękę i zawiesza ją Kaśce na plecach, a potem bije i bije, a mówi:

— A słuchaj torbo! słuchaj torbo!

Kaśka w krzyk, ale Kuba jak bije, tak bije, jak wali, tak wali i nie uważa na krzyk i wrzask Kaśki, lecz, dopiero przestaje, kiedy miarkował, że tego już będzie naraz dosyć. Dopiero tedy zdejmuje torbę z Kaśki i wiesza ją znowu na swojem miejscu i znowu mówi jak wczoraj i grozi jej, że jak go na jutro nie usłucha, to znowu dostanie takie smarowanie.

Potem podziękował Kaśce za to, że mu trzymała torbę i położyli się spać w jaknajlepszej zgodzie, choć Kaśka aż się spociła po tem smarowidle. A kiedy usnęła, to tak spała po owej łaźni, jakby ją na wpół zarżnął i nie prędzej się obudziła, aż był dzień biały.

Ale Kuba wstał jak zwykle, ugotował śniadanie, wyjechał w pole, a Kaśkę zostawił w łóżku i znowu jej nic nie mówił, ani jej nawet nie obudził do śniadania, jeno sam zjadł z parobkiem.

Kiedy już było dnia kawał, obudza się Kaśka i widzi, że to już blizko południe, a tu Kuby już w domu niemasz. Patrzy na torbę, ale się torba do niczego nie

zabiera, jeno wisi jak zawsze; myśli więc sobie: „Pewnieć mnie to samej wszystko trzeba zrobić, bo przy torbie i mnieby się znowu oberwało“. Kiedy więc nie wstanie, a nie zacznie najpierw uprzątać po izbie, zamiatać, pościełać łóżka i umywać statki; kiedy nie napali ognia, a potem kiedy nie zagnie rękawów, a nie

„A słuchaj torbo! słuchaj torbo!“ Kaśka w krzyk; ale Kuba jak bije, tak bije...

zacznie gnieść klusek i gotować, że oto wszystko w okamgnieniu już było po całej robocie i Kaśka miała wprzód jeszcze gotowy obiad, nim Kuba przyjechał był z pola. A jak tylko wjechał na podwórze, wybiegła natychmiast Kaśka naprzeciwko niemu i woła go jeść. Zdziwiło to Kubę, ale razem ucieszyło, że mu się tak od razu Kaśka naprawiła; kochał ją więc tembardziej.

Od tego czasu Kaśka wszystko robiła sama i nie mogła się wydziwić, jak jej zawsze dnie prędko schodzą. Nieraz byłaby rada, żeby dzień trwał dłużej. A przedtem dzień każdy rokiem się jej być zdawał. Przekonała się, że miał Kuba rację, kiedy mawiał: „Przy robocie uchodzi czas jak na kołowrocie".

Kiedy zaś już wiedział, że mu się Kaśka coraz to lepiej zasługuje, przyjął jej też dwie dziewki i mówił: „Nie potrzebujesz ty wszystkiego robić sama, byleś tylko rządziła domem, a Pan Bóg nam da na to, że będziemy sobie mogli chować i czeladkę". I tak też Kaśka robiła, jak jej mówił Kuba i wnet była z niej najlepsza gospodyni, bo kiedy przypadła jaka nagła robota, to się Kaśka bynajmniej nie leniła, jeno dalej do roboty z drugimi, czy to było w podwórzu, czy w ogrodzie, albo też czy to było w polu.

Tak jednego razu pomagała Kaśka dziewkom nakładać gnoju, który Kuba wywoził pod pszenicę. W tym samym czasie przyszła też i jej matka do niej, aby ją odwiedzić i obaczyć, jak się też rządzi; myślała bowiem, że już może będzie miała pustki w komorze. Przychodzi więc do izby, a tu wszystko jeno się świeci od czystości; w izbie nie było nikogo; zagląda potem do komory, a tu pełno wszystkiego. Dziwuje się i wychodzi na podwórze, a tu spotyka Kaśkę z widłami przy gnoju.— „A to co? ty przy gnoju?" — zawołała matka. — A córka na to jej odpowiada: — „A cóż widzicie matusiu! alboż to co złego?" A matka na to: — „Nie, bynajmniej moja Kasiu, aleś ty tego u mnie nigdy"... i chciała mówić jeszcze coś więcej, kiedy jej przerywa córka i mówi: „Żebyście lepiej nie gadali matusiu a pomogli nam, tobyście lepiej zrobili; bo oto już Kuba nadjeżdża", i zaraz podaje matce widły. Zdziwiła się matka i zawstydziła, nie mówiła więc nic więcej, jeno wzięła widły i pomogła nakładać na fury. Tymczasem przyjechał i Kuba, a matka wzięła go na bok i pyta się: „Zkądże się to wzięło, mój zięciu! że Kaśka się zmieniła, jakby ręką przewrócił?" A Kuba szczerze wszystko opowiedział matce, co uczynił. Ale matka wcale się o to nie gniewała na niego, jeno mówiła dalej: „Kiedyście sobie

tak mądrze poradzili w małem, dam ci i to drugie gospodarstwo jeszcze, a ty mnie dasz tylko utrzymanie do śmierci i będę z wami społem mieszkała". Jak mówiła, tak też i zrobiła, a pokazało się, że Kuba był najlepszym gospodarzem, a Kaśka najlepszą gospodynią na wieś całą.

Dał im też Pan Bóg i dzieci, i mieli kilku synów i parę córek, a wszystko to było pracowite jak mrówki, a zdrowe jak rybki w wodzie. Ale bo też Kuba chłopców a Kaśka córki zaraz od małości przyzwyczajali do pracy. I słyszano ich też często, jak sobie śpiewały tę powszechnie znaną piosnkę:

Dalej, dalej! do roboty, do książek lub ręcznej pracy,
Bo ciągłe w życiu kłopoty mają leniwcy, próżniacy!
Prędko, słodko przy robocie godzina każda upływa,
Podczas gdy próżniak w tęsknocie, dręczy się i z nudów ziewa.
Czas jest klejnot bardzo drogi, kto na niczem go przepędza,
Czyli to pan, czy ubogi, tego pewno czeka nędza.
Dla tego rączo do pracy! korzystajcie z każdej chwili,
A będą nam szczęścia, swobód, wszyscy gnuśni zazdrościli!

SPIS.

Jak się pijanica Bartek za życia dostał do sieni piekielnej 3
Spalona karczma 8
Najdroższe skarby 12
Ostatnie jajko 16
Wypędzone nieszczęście 22
Jak Maciej Palas wyszedł na puszczaniu krwi . . . 27
Historja o Katarzynie. (Złej słudze) 31
Zli sąsiedzi 39
Sposób na biedę 46
Historja o Kaśce i o leniwej torbie. 55

BIBLIOTEKA NARODOWA

15,-

Ant. Andrzej K Łuczak
20.01 1999 Łódź
zł 15,-

BIBLIOTEKA NARODOWA
1519558
Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001017860923